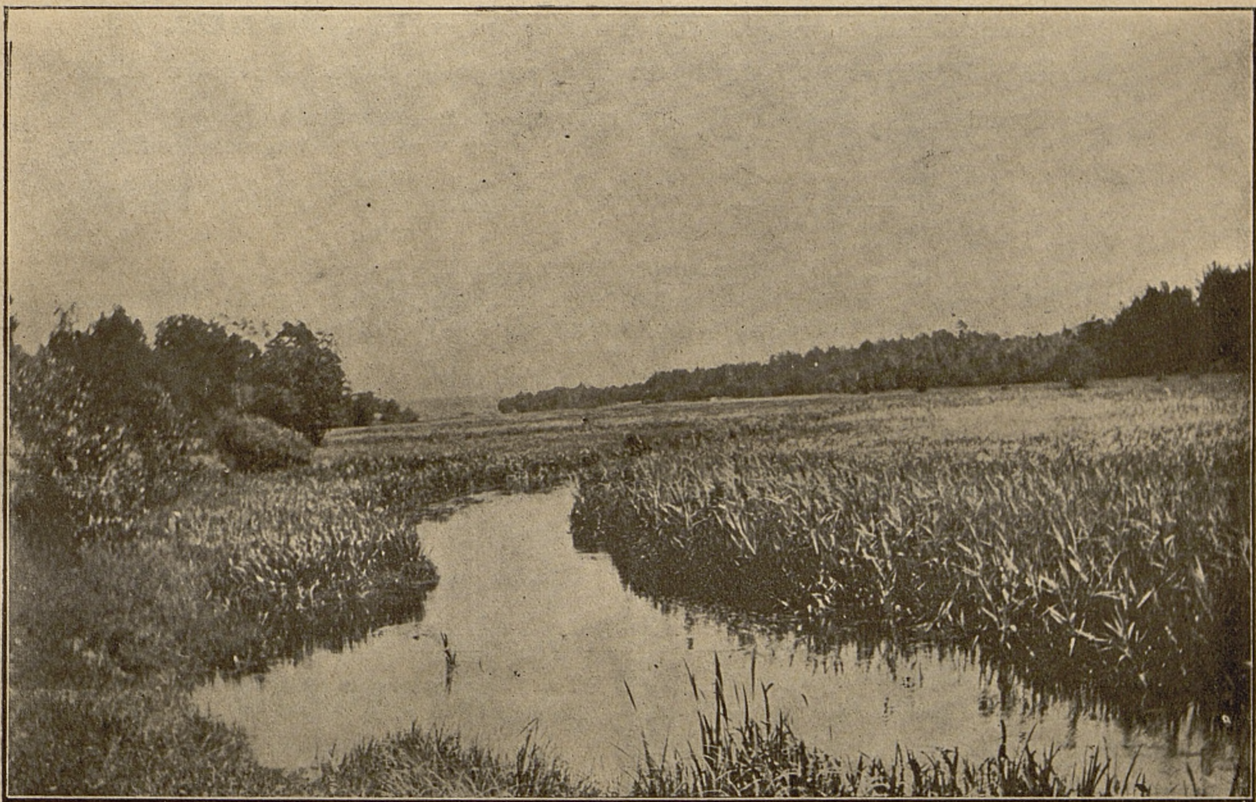
Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Dolina rzeczki Supraśl. Fot. Andrzej Błeszyński.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

NR. 34 (638). 22 SIERPNIA 1931 R



Zbiórka bocianów przed odlotem w sierpniu na Polesiu. Fot. Jan Olendzki. Drohiczyn.

O UPORZĄDKOWANIE STOSUNKÓW ŁOWIECKICH W POLSCE.

I.

Łowiectwo jako pojęcie prawne, ma dwa oblicza, jest ono bowiem równocześnie z jednej strony ważną gałęzią gospodarstwa społecznego, a z drugiej strony posiada wybitne znaczenie sportowe.

Spoglądając na rozwój stosunków łowieckich w Polsce, podobnie zresztą jak i w innych państwach, możemy zauważyć znamienną ewolucję w kształtowaniu się zapatrywań na oba te czynniki składowe łowiectwa. Mianowicie początkowo przeważa jego charakter czysto ekonomiczny: człowiek pierwotny prowadzi ze zwierzęciem walkę o byt, potrzebuje jego skóry na ubranie, a mięsa na pożywienie i zabija tylko tyle zwierząt, ile mu potrzeba koniecznie do zaspokojenia swych bezpośrednich potrzeb. Następnie, gdy coraz więcej potrzeb ludzkich zaczyna pokrywać rolnictwo i chów bydła, gospodarcze znaczenie łowiectwa schodzi stopniowo na drugi plan, a zyskuje przewagę jego charakter sportowy. Łowy stają się wtedy szlachetną rozrywką możnych tego świata i wstępną praktyką do rycerskiego rzemiosła, a ograniczające je przepisy należą do wyjątków.

Rychło jednak — ale niestety, już i tak nieco zapóźno — zauważono, że zwierzyna nie mnoży się tak szybko, by można było polowanie na nią uważać jedynie za sport. Następuje więc ograniczenie polowania zrazu tylko na najszlachetniejsze gatunki zwierzyny (t. zw. „venatio magna"), a z czasem i na pozostałe jej rodzaje.

Zwiększanie się zaś stałe gęstości zaludnienia i idące z niem w parze spychanie zwierzyny do coraz szczuplejszych rezerwatów na skutek trzebienia lasów i kolonizowania pól, wzrost ilości myśliwych oraz ogromne udoskonalenie myśliwskiej broni i amunicji powodują coraz bardziej naglącą konieczność stałego uzgadniania tych przepisów z wymaganiami chwili, to znaczy wzmacniania ochrony tych gatunków zwierzyny łownej, które przetrwały jeszcze do naszych czasów.

Wskutek tego wytwarza się pewna rozbieżność między wspomnianymi wyżej, obydwoma kierunkami łowiectwa; mianowicie z punktu widzenia sportu myśliwskiego należałoby nie przeciwdziałać jego jaknajszerszemu rozpowszechnianiu się, przeciwnie zaś jego strona gospodarcza wymaga, by liczbę myśliwych i czas polowania jaknajbardziej ograniczyć.

Zadaniem zaś państwa jako czynnika uzgadniającego i regulującego z tytułu swego stanowiska, wszelkie podobne kolizje interesów, jest wynalezienie takiego „złotego środka", któryby z jednej strony dawał gwarancję utrzymania i prawidłowego przyrostu zwierzyny, a z drugiej strony nie czynił zbyt wielkich trudności obywatelom chcącym uprawiać łowiectwo jako sport.

Wykwitem tej właśnie wewnętrznej rozterki i walki czynnika rzeczowo - ekonomicznego z postulatami abstrakcyjnej demokracji jest nasze prawo łowieckie (rozporządzenie Prezydenta R. P. z 3/XII 1927, Dz. ustaw Nr. 110).

Nie jest ono z pewnością zupełnie doskonałe

i wykazuje pewne luki oraz niedociągnięcia, należy jednak lojalnie przyznać, że stanowi ono maximum tego, co można było w danej chwili dla dobra sprawy uzyskać. Żeby zaś sytuację łowiectwa polskiego poprawić, lub przynajmniej utrzymać jako tako status quo, trzeba po pierwsze wykorzystać wszystkie dobre strony obecnej ustawy dla dobra sprawy, a po drugie należy dążyć do znowelizowania tych jej artykułów, które nie wytrzymały próby trzyletniej praktyki.

Naprzód więc musimy wydatnie usprawnić i skoordynować działalność w tym zakresie organów wykonawczych, to znaczy administracji i policji, zaś potem dążyć należy do przeforsowania niektórych postulatów de lege ferenda przez stworzenie nowych i uzupełnienie dotychczasowych zasad prawnych.

Przed przystąpieniem do omawiania szczegółów muszę zaznaczyć jeszcze raz, że poruszona kwestja jest z natury swej bardzo drażliwa i wymaga traktowania w całem tego słowa znaczeniu sine ira et studio i z pozostawieniem na boku wszelkich wycieczek w sferę interesów partyjnych czy klaswych.

Mianowicie w ramach tego zagadnienia rozgrywa się nieustająca walka teorji z praktyką, abstrakcji z faktami. Albowiem w myśl zasad chemicznie czystej demokracji chciałby każdy posiadacz najdrobniejszego kawałka gruntu mieć nieograniczone prawo do znajdującej się na nim zwierzyny.

Natomiast praktyka uczy, że takie postawienie kwestji równałoby się jej zupełnemu zlikwidowaniu w bardzo krótkim czasie przez całkowite unicestwienie zwierzyny.

Z gruntu błędne jest bowiem zapatrywanie, że można łowiectwo rozparcelować podobnie jak parceluje się wielką własność rolną, — można je conajwyżej tą metodą bezpowrotnie zniszczyć! Musimy się więc pogodzić z losem i przyznać, że łowiectwo nie wytrzyma ani nawet przez krótki czas, kompromisu z demagogicznemi hasłami.Gospodarkę łowiecką musimy ująć ściśle rzeczowo i racjonalnie, nie przejmując się przytem żadnymi zawiedzionymi apetytami i kierując się jedynie względem na dobro sprawy.

Jako naczelną i podstawową zasadę tego problemu musimy postawić bezwzględny i niedopuszczający żadnych wyjątków postulat, że do ciągnięcia korzyści i przyjemności z łowiectwa nie może być dopuszczony nikt, kto nie chce ponosić ciężarów związanych z hodowlą i ochroną zwierzyny — podobnie jak w rolnictwie nie może spodziewać się zbiorów, kto poprzednio nie chciał orać ani siać.

Po za kwestją konieczności utrzymania zwierzyny w imię zasad gospodarstwa społecznego i postulatów ochrony przyrody należy jednak zwrócić uwagę na jedną jeszcze stronę tego zagadnienia, dotychczas naogół niedocenianą. Mianowicie należy stwierdzić, że zbyt daleko idące spopularyzowanie łowiectwa i posiadania broni koniecznej do jego uprawiania wywarłoby jaknajbardziej ujemny wpływ na kształtowanie się stosunków bezpieczeństwa w kraju. Nie przesadzę bowiem z pewnością, twierdząc, że w Polsce conajmniej tysiąc osób rocznie traci życie lub popada w kalectwo tylko dlatego, że nasza polityka administracyjna w stosunku do kwestji posiadania broni i polowania jest zbyt liberalna. Prawie każdy numer jakiegokolwiek dziennika przynosi nam notatki o różnych awanturach rewolwerowych w szynkach lub na weselach, o napadach nieznanych a uzbrojonych w broń palną, sprawców na leśników lub policjantów, o strzałach śmiercionośnych, dawanych przez różnych zawiedzionych amantów lub nawet obrażonych z powodu złej noty, uczniów szkół średnich i t. p. Zgrozę wywołują w samej okolicy wykonywane tam na porządku dziennym za pomocą rewolwerów wyroki sądów złodziejskich, — na pogrzebach oddaje się salwy honorowe z browningów, a niedawno sensację wzbudziły doniesienia dzienników warszawskich o świeżo wypuszczonym z domu warjatów młodzieńcu, który ze złości o przegrany proces wyprawił na drugi świat po poranieniu swego przeciwnika i paru świadków, a następnie wylegitymował się zupełnie legalną kartą na broń. Podobnie sensacyjne zabarwienie miał niedawny wypadek polowania na ludzi, które urządził sobie w Warszawie jakiś pijany awanturnik, raniąc i zabijając spokojnych przechodniów i to nie wiedząc sam dlaczego. Dla ilustracji wyliczę tu jeszcze wypadki i przestępstwa z bronią palną, podane tylko w dwu pomorskich dziennikach przez dwa dni, a mianowicie w „Dniu Pomorskim" i „Dzienniku Bydgoskim" z 25 i 27 maja 1930:

1) W Wierzenicach, powiat Poznań, kłusownik Kaminka, strzelał z dubeltówki do gajowego Kopytłowskiego.

2) W Toruniu A. Ostrowski z Chojnic postrzelił w brzuch z rewolweru dyrektra Br. Borkowskiego.

3) W Zajączkowie, powiat Grudziądz, nieznani bandyci uzbrojeni w rewolwery napadli na gospodarza Szwarca.

4) W Inowrocławiu trzynastoletni A. Grzybowski zranił wystrzałem z floweru, E. Hertla.

5) W Toruniu skazano Bonina za zastrzelenie Lewandowskiego.

6) W Chojnicach Br. Jeżewski zastrzelił własną siostrę skutkiem nieostrożnego obchodzenia się z pistoletem.

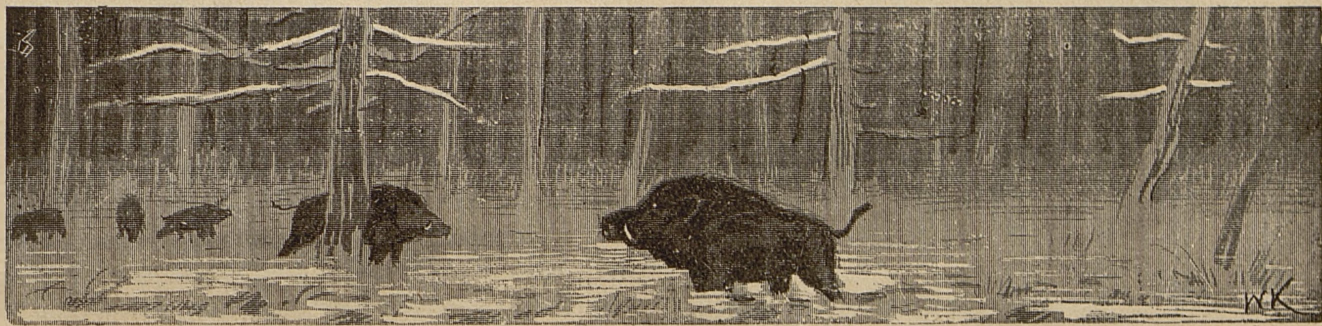
7) Na szosie Terespol — Przechowo, powiat Świecie, trzech uzbrojonych w rewolwery bandytów napadło J. Klapczyńskiego z Bukowca.

Przypuszczam, że to wystarczy, jak na dwudniowe pokłosie dwu dzienników dzielnicy, w której cywilizacja i porządek prawny stoją najwyżej w państwie. Gdyby dodać do tego jeszcze informacje pozostałej prasy oraz te wypadki, które do publicznej wiadomości nie doszły, to otrzymaliśmy obraz ogólny, niezbyt pocieszający. Nasuwa się tu mimowoli pytanie, skąd taki jeden z drugim warjat, pijak lub degenerat, albo osobnik niemający pojęcia o obchodzeniu się z bronią, miał rewolwer lub dubeltówkę. Kto i dlaczego dał mu kartę na broń, lub też kto i na jakiej podstawie sprzedał mu broń i amunicję? Z podobnych jak przytoczone, komunikatów prasowych dowiadujemy się ciągle o nowych wypadkach odbierania życia i zdrowia niewinnym osobom przez nie-

umiejętność obchodzenia się z bronią, manipulowanie lekkomyślnie z amunicją, zostawianie nabitych strzelb w obecności dzieci i t. p. Nieraz wreszcie broń posiadana prawnie lub nieprawnie, staje się narzędziem teroru w stosunku do spokojnych obywateli, a przeważna część takich przestępstw nie dochodzi wogóle do wiadomości władz, gdyż pokrzywdzony milczy z obawy przed zemstą, mając w pamięci liczne wypadki jej skutecznego stosowania.

Widzimy więc, że leży w interesie ogółu, by broń dostawała się do rąk tylko rzeczywiście godnych zaufania osób. Wszelki zaś przesadny liberalizm w traktowaniu tego zagadnienia musi w swym końcowym efekcie spowodować z jednej strony gwałtowne obniżenie się poczucia bezpieczeństwa i porządku prawnego w społeczeństwie, z drugiej zaś strony doprowadzić do zupełnego zrujnowania łowiectwa. Trzeba więc wdrożyć celową akcję zmierzającą do uporządkowania stanu prawnego i faktycznego w zakresie obu tych pokrewnych zagadnień, to znaczy posiadania broni i łowiectwa. Akcję tę podzielić należy na dwa etapy. Pierwszy z nich to zrewidowanie już istniejących przepisów i ujednostajnienie kontroli nad ich wykonaniem przez ludność i władze, drugi zaś to przeforsowanie jak już wyżej wspomniałem, niektórych postulatów de lege ferenda ,czyli stworzenie nowych, lub też znowelizowanie obecnych zasad prawnych.

(C. d. n.). CZESŁAW MAŃKOWSKI
Magister praw.



FRAGMENTY

(Z CYKLU „WIOSNA").

(Zob. Nr. 33).

A gdy małe pisklę poczęło się ruszać o własnych siłach, przez swą żywiołową żywość, przez dziczenie się przed wszystkimi i przez stałe krycie się po burzanach i oczeretach, wkrótce uzyskało przezwisko „Byndasowa czortynia". Rzeczywiście drobniusieńka, ruchliwa jak rtęć, Kryśka, z kupą rozwichrzonych, brudnokasztanowatych kędziorków na głowie, z ogromnemi, jakby wchłaniającemi w siebie całą jej twarzyczkę, oczami, ze spalonem na bronz, zgrabnem ciałkiem śmigającem do wody, pływająca i nurkujaca jak kaczka, podobna była raczej do maluśkiej, wodnej boginki niż do wiejskiego dzieciaka, a jej zwycięskie wyścigi z Nepysem w wydostawaniu z gąszczów oczeretu zestrzelonych ptaków wydawały się wyczynami nieludzkiej mocy i zdolności. Dawno już zamienionego w prochy Szarmasa zastąpił opromieniony zdobytą na całą okolicę sławą, brytan Nepys, który rzetelną i niezawodną pracą w szuwarach, oczeretach i na mokradłach często zawstydzał najlepsze, rasowe pointry, w kwestji zaś aportu zawsze stał po za konkursem.

Ubiegłe lata zgięły w kabłąk potężne ciało Byndasa, wydłużyły jego ręce, sięgające omal że nie do kostek nóg i w niemożliwy sposób zorały zmarszczkami oblicze. Bialutki jak gołąb, obrośnięty jak holenderski rybak, rosnąca z pod szyi broda okalającą srebrnobiałym wiankiem jego zasuszoną twarz, stary Byndas stale towarzyszył memu ojcu w wyprawach na błotne ptactwo, układał nasze wyżły i niezmiennie, nie wiem z jakich powodów, obdarzał mnie specjalnymi względami. Może dlatego, że będąc jeszcze pędrakiem, dreptałem do upadłego za myśliwymi w charakterze koniecznego świadka i tylko na nieznoszący sprzeciwu rozkaz ojca, z poczuciem niezasłużonej krzywdy zasiadałem na „przyzbie" chaty Byndasa, gdzie wonny plaster miodu osładzał moją rozpacz; może dlatego, że cieszyłem się wyjątkową opieką Kryśki, która chociaż o parę lat młodsza odemnie, imponowała mi swemi zdolnościami i wiedzą z dziedziny łowiectwa, a może... może dlatego, że w urocze, ciepłe wieczory kaczych przelotów, gdy starsi na upatrzonych stanowiskach raz po raz mącili ciszę hukiem wystrzałów, przykucnięty obok Byndasa, całą duszą chłonąłem jeszcze nieuświadamiany, czar wieczornych pieśni, gdy zaś po zmarszczkach starego, wpatrzonego kamiennem spojrzeniem w purpurową taśmę zachodu, spływała ciężka łza, a ręka, spoczywająca na główce tulącej się doń Kryśki, zaczynała drżeć — umiałem milczeć, chociaż moje chłopięce serce ściskało się boleśnie.

Czy w ledwie uchwytnym szeleście ostrolistnego oczeretu targany niezmierną tęsknotą za krajem ojczystym, słyszał starzec poszum odwiecznych borów, ciche stąpania i głosy ich mieszkańców, aż do burego władcy włącznie; czy wizje szczytnych zmagań, beznadziejnych walk i chlubnych porażek, wraz z rojem upiorowych widziadeł zgwałconych ciał niewie-

ścich. broczących krwią czaszek niemowląt, rozdeptanych ciężkim butem bestjalskiego żołdaka i setek szubienic — pochodni męczeństwa Narodu, wzniecονych przez Murawjewa „wieszatela" — opanowywały wyobraźnię dzisiejszego dziada i chłopa? Czy wspomnienia gryzących dymów ze zgliszcz palonych dworów i dworków najofiarniejszych synów Ojczyzny, czy wreszcie cmentarny smutek nad utratą własnego „ja" i tego, co nadewszystko niegdyś umiłował hen tam na zachodzie, — brały w posiadanie i kirem żałobnym spowijały duszę Byndasa, wyciskając z już oddawna wypłakanych oczu samotną łzę- — nie zdawałem sobie wówczas z tego sprawy, lecz niewysłowiony ból żałośnego współczucia i rzewna tkliwość opanowywały moją świadomość. Gasły ostatnie błyski wieczornej zorzy. „Boża wola" szeptały drżące wargi podnoszącego się Byndasa. „Pójdziem do strzelców" mówił i spłoszony, jakby usiłując zatrzeć wrażenie, śpiesznie, głośno dodawał: „dawajte ditky ruczyniata, pidem do strylciw" (dajcie dziatki ręczęta, pójdziemy do strzelców). Zwykle nikt „ruczyniat" nie dawał, gdyż Kryśka zgodnie ze swym utartym zwyczajem uciekała do domu, ja zaś uważałem za punkt honoru zawsze okazywać dążenie do samodzielności.

Częstemu obcowaniu z Byndasem i jego satelitami bardzo dużo zawdzięczam. Uważne wsłuchiwanie się w jego swoiste opowiadanie o życiu i bytowaniu różnorodnej zwierzyny i o rozmaitych sposobach łowów, gorące chęci poznania wszystkich arkanów wiedzy łowieckiej i nigdy nienasycony głód wrażeń myśliwskich — stały się podstawą mych coraz częstszych powodzeń na polu chwały w walce z groźnymi przeciwnikami — starszymi braćmi, oraz potęgowały umiłowanie natury i ściśle z nią związanej, szlachetnej namiętności. Przywiązanie moje do Byndasa krzepło z roku na rok, przyjaźń zaś z Kryśką była niezmienna, wytrzymująca najcięższe próby. Rady, wskazówki i nauki Byndasa w mojem przekonaniu nie mogły podlegać żadnej krytyce. Już w zaraniu swej karjery myśliwego wiedziałem, że polowanie na ptactwo jest wyłącznym przywilejem prawdziwych adeptów św. Huberta, że zając — to nie „pański zwierz", że najlepiej „brać" go z pod chartów, względnie strzelać z pod ogarów w kniei, lub w ostateczności z „pędu huczków" (naganiaczy), że każdy gatunek zwierza posiada w niedostępnych matecznikach swych króli, jak to: wilczy król, łosi król i t. p., z którymi „nie daj Boże myśliwemu się spotkać", że nie trzeba się dziwić, gdy najściglejszym ciętym chartom wywinie się w szczerem polu lis i pójdzie do „skotów" (nory), bo z pewnością będzie to lis-żmijka, który w obronie życia parska na psy trującą i palącą śliną, czego nie może znieść żaden pies na świecie; że w przyszłości zetknę się z głuszcem, cietrzewiem, jarząbkiem, pardwą, jeleniem, łosiem, dzikiem, rysiem, niedźwiedziem i t. p., które wyglądają tak; których ślady są takie (kreślenie trzcinką na piasku), a dla zdobycia których potrzeba umieć wabić, podsłuchać, tropić, okładać, podchodzić, dochodzić w taki, a nie inny sposób; że wielka księga natury jest otwarta tylko dla myśliwego, po za którym żaden „uczony" nie przeniknie i nie odcyfruje jej tajemnic. Prawdy, zaczerpnięte z tej skarbnicy wiedzy, wyjątkowe wiadomości, wygłaszane arbitralnie przezemnie, często narażały mnie na napomnienia starszych, a ulubiony temat mych braci—wydrwiwanie uczuć „Byndasowego czortyniaty" Kryśki, która tylko mnie towarzyszyła w wypadach na kaczki i tylko przezemnie zabite sztuki uważała za godne uporczywego aż do skutku, szukania, — wywoływał zawsze atak furji doprowadzającej do walk epicznych, z których, w mem tylko przekonaniu, wychodziłem zwycięsko. A jednak prędko prześcignąłem braci w sztuce strzelania, co się zaś tyczy umiejętności orjentowania się w terenie, wyszukiwania największych ilościowo lęgów kaczych lub wysypek kszyków i zwabiania, a następnie przykrycia siatką najładniej bijącego przepióra, oraz wybrania z piszczącej kupy charcich, gończych i wyżlich, ślepych szczeniąt, najlepszego w przyszłości psa, — to nieodwołalnie uzyskiwałem milczące uznanie swej wyższości. W konsekwencji tego uznania często paradowałem z horendalnie opuchniętą szczęką, gdyż musiałem bez sprzeciwu wykonywać włożony na mnie obowiązek wypróbowania każdego gruchota, który przypadkowo wpadał w ręce mych braci, nieposiadających w danym wypadku zalety oszczędzania „amunicji".

Z nadejściem wiosny szczytem naszych pragnień były strzały do dzikich gęsi. Do czasu ograniczaliśmy się do znanych nam sposobów polowania w polu. Prawie beznadziejne „skrady" (podpełzania) i podjazdy do żerujących na oziminach, ostrożnych ptaków, godzinne mordęgi leżenia na rozmiękłej, przenikliwie ziębiącej miedzy w czasie napędzania na „szczytki" (półmetrowe, lekkie kawałki drewna, podziurkowane raz koło razu świderkiem, z gęsto osadzonymi w dziurkach badylami suchego burzanu, używane także przy „skradach"), oraz z wielkim zapałem urządzane „jamy-zasadzki" na upatrzonych, jakoby pewnych linjach wieczornego ciągu gęsi z pól na wodę — stale nam nie dopisywały. Zawsze dzikie gęsi okazywały się mądrzejszemi od nas i chociaż psuliśmy prochu co nie miara, wielkiej im krzywdy zrobić nie mogliśmy. Postać rzeczy się zmieniła, gdy uzyskaliśmy prawo brać udział w nocnych wyjazdach na rozlewy. Stary Byndas ze swoją „duszehubką" (lekka, wywrotna łódeczka) stał się panem naszych powodzeń, a jego względy dla 9-letniego nemroda wysunęły tego ostatniego na czoło młodocianych zawodników. Wogóle w tej miejscowości czas trwania polowania na gęsi był bardzo krótki i powódź szybko spływała, a po kilku nieprzespanych nocach amator „gęsich" wrażeń nie miał już nic do roboty, gdyż upragnione, rzadkie ptaki niezwłocznie opuszczały swe chwilowe postoje. Ulubionem miejscem noclegu dzikich gęsi był szeroki, przeszło 2-kilometrowy rozlew pomiędzy wioskami: podolską Ł. a chersońską S. Głębokość rozlewu nie była równomierną na całej przestrzeni, której trzy czwarte, znajdujące się w Chersońszczyźnie, przedstawiały wodną, metrowej głębokości płaszczyznę, na której gdzieniegdzie tylko były rozrzucone małe, niepokryte wodą wysepki. Koryto rzeczki, oraz zalana wodą część podolskiego porzecza były głębsze i zwykle gęsi grupowały się na nocleg na podolskiej stronie, z początkiem zaś świtu wynosiły się z wody przeważnie na chersońskie pola, w czasie swego przelotu płacąc

większą lub mniejszą daninę czyhającym na trudną zdobycz myśliwym ukrytym na wysepkach. Prawie że każda z tych wysepek posiadała tradycję „dobrego miejsca" oraz prymitywnie urządzone stanowiska dla myśliwych. Największą wyniosłością gruntu była wysepka tak zwana „Natałczyn horbok" (wzgórek Natałki), odznaczająca się, po za kilkoma krzakami łozy, trzema strzelistemi, włoskiemi topolami. Fama głosiła, że niegdyś, trzeciego marca, niejaka „mołodycia" Natałka podążała do wsi Ł. Zaskoczona ruszeniem lodów i ogromną powodzią, schroniła się na tej wysepce, gdzie pozostawała w ciągu trzech dni i nietylko uratowała swe życie, lecz i powiła dwoje tęgich bliźniąt. Dla uwiekopomnienia tego doniosłego zdarzenia, w którem liczba trzy odegrała znamienną rolę, wdzięczna Natałka własnoręcznie posadziła trzy topolki, potomność zaś nazwała wysepkę imieniem heroini. Wysepka ta nie była uważana przez okolicznych myśliwych za wartościową. „Hladuny" (miejscowi specjaliści wypatrywania powietrznych dróg przelotu dzikich gęsi z wody na pola) stale zapewniali, że lecące stada gęsi zawsze omijały „Natałkin horbok". Jednak Byndas był innego zdania i miał słuszność, gdyż pierwszą w życiu, a i nie ostatnią w mojem dzieciństwie, gęś strąciłem do wody z mojej małej 28 kalibru „tułki" (broń wyrabiana przez Tulską fabrykę rządową), w czasie czatów na tej wysepce. Punktem zbornym był krzyż (t. zw. „figura") przy drodze prowadzącej do wsi S., odległej od naszego domu o 8 — 9 kilometrów, u podnóża którego o godzinie 1-szej w nocy Byndas zwykle czekał na swego pupila. Po wzajemnem powitaniu prowadził do łódeczki, troskliwie usadzał i przewoził na wzgórek Natałki, gdzie poważny Nepys stróżował pozostawione przez Byndasa jednorurkę, torbę i wiązki słomy. Zachodnia część wysepki wrzynała się w rozlew wąskim cyplem i tu, za niskim, rosochatym krzakiem łozy, urządzone było wygodne siedzenie na suchej wiązce słomy, przykrytej samodziałowym kilimkiem. Przykry i męczący czas oczekiwania skracał Byndas opowiadaniami okolicznościowemi, które dopomagały mu do zwalczania przemocy snu, gwałtownie mnie opanowującego. „Nu hołube, uże pora berehty, zaraz husy pidut" (no gołąbku, już czas pilnować, w tej chwili gęsi ruszą) mawiał serdecznie i słowa te otrzeźwiały nawpół sennego, jeszcze nieprzyzwyczajonego do nocnego czuwania, dzieciaka. Emocjalne przeżycia rozpoczynały się. Jak cięciwa łuku napięta mocnem ramieniem łucznika niewidocznie drży, a zgięte w obręcz, sprężyste drewno cicho dźwięczy jękiem niezmiernego naprężenia, tak przemożne pragnienie osiągnięcia celu targało drgającymi mięśniami, kurczyło wnętrzności i tamowało oddech spazmem gardła, a wpatrzone do bólu w szarą próżnię powietrza, oczy zachodziły łzami. Niemożliwie powolne zbliżanie się świtu poprzedzały dochodzące z oddali, stłumione odgłosy budzących się ze snu, wsi, szczekanie psów i krakanie stad gawronów. Furkot przelatujących obok, stadek kaczek wywoływał gwałtowne skręcenia karku oraz rozpacz z powodu przeświadczenia, że to już „prawie dzień, a gęsi jak niema, tak i nie będzie". Świt się zbliżał. Przedranne ciemności naraz się zwiększyły i zgęstniały. Tylko na wschodzie długie, długie, blade pasmo zwiastowało bliską przerwę wiecznej walki, oraz kolejne zwycięstwo dnia. Cierpienia wyczekiwania doszły do zenitu, a w coraz to zwiększającym się rozgardjaszu dźwięków zmęczone ucho łowiło już tylko łomot walącego w piersiach, serca i dzwonienie własnych zębów szalejących w jakimś niepohamowanym tańcu. Raptem, w ślad za szybkiem „pilnuj" Byndasa, zamajaczył klucz gęsi. Tuż, tuż, jakby na długość dosięgalności ręki, z gąszczy mroku wyłaniały się na bezszelestnych skrzydłach widma-cienie ptaków, wyolbrzymione nikłem dla oka światłem i z harmonijnem pogęgiwaniem, wolno, spokojnie jeden po drugim, znikały bezpowrotnie. Nię celowałem. Nerwowo



P. Wacław Goliszewski, mistrz Polski na r. 1931 w strzelaniu do rzutków we Lwowie.

podrzuciłem lufy strzelbiny i... tysiące świec zamigotało w mych oczach, gdy nacisnąłem jednocześnie oba cyngle. Plusk spowodowany spadnięciem do wody mego pierwszego trofeum, prawie że zlał się z hukiem wystrzałów. Na rozkaz Byndasa: „ruszaj Nepys", stateczne psisko bezszumnie spłynęło w ciemne czeluści rozlewu i po kilku chwilach, które mi się wydały wiecznością, powróciło z „najcudniejszą na świecie" „kazarką" (gatunek gęsi). W upojeniu radości zawisłem na szyi starego i, łkając, wycałowałem jego zgrzybiałe policzki.

Zegar czasu niezmordowanie wybijał godziny, odmierzał dnie, miesiące i lata. Przyszedł okres, w którym bardzo rzadko odwiedzałem strony swego dzieciństwa. Wpadałem jak po ogień, wyłącznie w celu pohulania z chartami, lub też zwabiony wiadomo-

ściami o nadzwyczajnem w tym roku najściu dropi, strepetów, kulonów i różnego rodzaju kuligów przepełniających „aż do wstrętu" stepy jak długie i szerokie. W ciągu kilku lat, o młodzieńcza lekkomyślności, nie odwiedzałem swego pierwszego mentora Byndasa i chociaż rok rocznie przesyłałem mu i małej Kryśce pozdrowienia oraz upominki, jednak, po zakosztowaniu niedających się porównać rozkoszy używania na „rozsypach" i „pławniach" ujść Dniepru i Dniestru, zatraciłem pociąg do odwiedzania terenów, które z przed niewielu laty uważałem za najpożądańsze. W czasie „maślenicy" (zapusty) utartym zwyczajem zjawiałem się na ostatki charcich wyczynów i w ciągu trzech dni do syta wykorzystywałem sposobność złamania sobie karku w szaleńczych wyścigach z chartami — jeździe tak dosadnie, a jednak i dowcipnie określonej przez rozumującego chłopka: „sorok hroszi tikaje, piat' rubliw dohaniaje, a jak sto spitknecia, to nasz neocenny; pan rozbijecia" (czterdzieści groszy (zając) ucieka, pięć rubli (chart) dopędza, a jak sto (koń) potknie się, to nasz bezcenny pan rozbije się). Zdarzało się, poza przytroczeniem do siodeł kilku lisów i kilkunastu zajęcy, uszczuć porządnego wilka i z pewnością ta możliwość dopingowała mnie więcej, niż chęć wyładowania nadmiaru energji w uganianiu się za marnym szarakiem w czasie rozpoczynającego się parkotu.

W 189... roku przyjazd mój był niefortunny. Niezmienny mój kompan, charciarz Marko Drapak zmagał się z „beszychą" (choroba róży), a stopa nie dopisała, gdyż choć zapusty były wczesne i wypadły na pierwsze daty lutego, odwilż stopiła do cna, cienki całun śniegu i rozmiękczyła urodzajną ziemię na kilka centymetrów. Próba w otwartem polu zawiodła i trzeba było pilnować ciągle ślizgającego się wierzchowca, charty zaś z miejsca brały kota bez obrotu. Świetny biegun — stepowy szarak umykał jak spętany, na zalepionych tłustym czarnoziemem skokach. Już w pierwszym dniu postanowiłem zaniechać morderstwa, ostatecznie zrezygnować z polowania i wracać nazajutrz do miasta O. W domu ktoś ze służby napomknął mi o Byndasie, który już cienko przędzie i ciągle niedomaga. Wiadomość ta natychmiast wpłynęła na zmianę mego postanowienia. Postanowiłem zrobić niespodziankę starcowi, któremu tyle zawdzięczałem, i tatarskim najazdem odwiedzić go w ostatni dzień zapustów. W niedzielę, o godzinie 8-ej rano samopas wyjechałem konno, a że natura zawsze ciągnie wilka do lasu, — wziąłem z sobą smycz młodych chartów z zamiarem wypróbowania ich po drodze na piaskach porzecza. Parę godzin napróżno jeździłem zygzakiem po piaszczystej nizinie i chociaż mokry piach znaczył liczne tropy nocnych, zajęczych spacerów, ani jednego kota nie ruszyłem. Zdecydowałem zaniechać dalszego, bezcelowego szukania i podążyć w zamierzone odwiedziny. Kierując się do miejsca bezpiecznego przejazdu, oznaczonego tykami upiększonymi zwisającymi smutnie wiechciami brudnej słomy, jechałem stępa brzegiem lodowej tafli, obecnie pokrytej płytką, połyskującą w słońcu wodą. Już się prawie równałem z widniejącą jak na dłoni, po przeciwległej stronie sadybą Byndasa, gdy z odległej o jakie trzydzieści kroków, piaszczystej wydmy czmychnął zając i, bestja, zamiast zmykać w pierwotnie obranym kierunku, po kilku susach stulił słuchy, zawrócił z miejsca i jak warjat, przecinając mnie drogę pod nosem, pomknął przez lód, wyrzucając za sobą lśniące słupy wody i dążąc wprost w kierunku obsadzonej drzewami osady Byndasa. Drugi warjat skręcił konia na zadzie i z okrzykiem „heczgo" runął za nim, nie zwracając uwagi na przeraźliwe chrobotanie i huk pękającego pod kopytami wierzchowca, lodu. Poprzez wzlatujące wyżej głowy strugi widziałem tylko, jak ścigany szarak wydostał się szczęśliwie na podolski brzeg, odcięty tuż koło rowu od ogrodu Byndasa przez ścigłą Lotkę, pięknym kominem uszedł jej zębom i o kilkadziesiąt kroków dalej już się kręcił beznadziejnie w krótkich obrotach. Naraz o moje uszy odbił się przeraźliwy krzyk, krzyk niewieści: „Jezus, Maria" i niezwłocznie następujący, złowrogi trzask załamującej się pod ciężarem konia, powierzchni o parę kroków od brzegu. Djabelnie zimna woda zalała cholewy mych butów, zad konia nieprzyjemnie szybko zaczął się pogrążać, a przednie nogi napróżno czepiały się wzdętej przy brzegu, rozpryskującej się lodowej skorupy. Nieszczęśliwe zwierzę z uwięzionemi w błotnistem dnie rzeczki tylnemi nogami, coraz więcej usuwało się w tył, napróżno starając się wygramolić. „Sznur, sznur" — i jakaś dobroczynna ręka rzuciła mi koniec sznura, okręcając jednocześnie drugi koniec o pień jednego z większych rosnących przy rowie, drzew. Mocno przywiązać do kulbaki sznur i wydostać się na dość stromy brzeg — nie było zbyt wielką sztuką. Daleko trudniej było dopomódz wygrzebać się wystraszonemu i zmęczonemu wysiłkami koniowi. Nareszcie, zachlapani i zabłoceni jak nieboskie stworzenia, z wielkim mozołem, wespół z dzielną zbawczynią wydobyliśmy trzęsącego się całem ciałem, rumaka. Speszony wypadkiem i zaabsorbowany ratunkiem wierzchowca, nietylko że nie zwróciłem uwagi na tę, która tak skutecznie i w porę przyszła mi w sukurs, lecz nawet nie zdążyłem jej podziękować za okazaną pomoc, gdyż umorusana niewiasta niezwłocznie uprowadziła konia. Pośpieszyłem do skubiacych uszczutego kota chartów. Szpetnie przeklinając w duszy zdobycz, siebie i świat cały, niechętnie skierowałem się do chaty. Na progu spotkała mnie nieznana mi, tęga jejmość, która w ciągłych „achach i ochach" wprowadziła do pustej izby, dopomogła ściągać przemokłe buty i dała piękny przyodziewek, składający się z „walonek" i kożucha Byndasa. Umyłem się rzetelnie i wystrojony w przygodne szaty, poczłapałem do Byndasa. Z trudem podniósł się na schorzałych nogach starzec; stękając, postąpił parę kroków i ze słowami: „a to szalona pałka, szalona pałka" padł w moje ramiona. Trochę spłakaliśmy się obaj. Posadziłem go na ławie, siadłem obok i rozpoczęła się pogawędka, przy której więcej mówią serca niż usta... „Co to dziadku? wszak wy mówicie po polsku" — „A mówię... i pani Dobkiewiczowa mówi, no i Krzysia też już mówi". „A gdzież jest mała Kryśka"? Zdziwienie i jakieś zakłopotanie ujrzałem na poczciwej twarzy starego. „Mała? A ona, mój złocieńki, pierwsza z nas ciebie widziała". Zrozumiałem: na Boga! to Kryśka mnie ratowała! Zerwałem się z ławy i wpadłem na wchodzącą Dobkiewiczową.

„Moja Pani! gdzie Krysia? proszę ją tu natychmiast sprowadzić". „Och nie paniczku, ach jaki paniczyk gorączka! och tak to wstyd! z początku paniczek się ogrzeje, ubranko oczyści się, buciki nasypane gorącym owsem już już na wyschnięciu, tymczasem jajeczniczka już gotowa, trzeba skosztować kieliszeczek mojej roboty wiśnióweczki, a potem paniczyk ładniutko ubierze się, a i naszej Krzysiuni trza przyodziać się, bo bardzo zabrudzona, nu, a już potem ta i owszem" — zaszczebiotała, zdrabniając wyrazy, na oko stukilowa jejmość pani Dobkiewiczowa. Wyśpiewanej jednym tchem replice potakiwał kiwaniem głowy Byndas. Przytłoczony okazałością jejmości i jej rzeczowymi argumentami, pokornie usiadłem i za chwilę zacząłem pałaszować podaną jajecznicę i świeży chleb z masłem, nie gardząc mocnym wiśniakiem domowego wyrobu. Sporo czasu upłynęło, nim pani Dobkiewiczowa raczyła przynieść mi wysuszoną i oczyszczoną odzież, w którą przebrać się nie omieszkałem. W trakcie opowiadania Byndasa o smutnym losie Nepysa, pokąsanego przez wściekłego psa, skrzypnęły drzwi. Podniosłem oczy i oniemniałem z podziwu. W smudze światła, wpadającego przez okno do izby, stanęło prześliczne dziewczątko. Zabłąkany promień słońca pieszczotliwie muskał jej wdzięczną postać, zapalał ognie w brunatnych włosach, drgał na długich, rzucających cienie na brzoskwiniowe policzki rzęsach, oświetlał równy, jak u kamei, nosek i lekko rozdęte chrapki, dotykał w przelotnym pocałunku nawpół rozchylone, koralowe wargi, odbijał się od perłowych ząbków, tęczą ześlizgiwał się po kolorowych „byndach" (wstążkach), krzesał skry z obfitego „namystka" (korali), dyskretnie spływał po napiąstkach jej obciśniętej aksamitnym staniczkiem, falującej piersi, po rękach schowanych pod misternie wyszytym, białym fartuszkiem, po wysmukłych, zgrabnych nóżkach, po wysokich, żółtych, kozłowych bucikach i kładł się pokornie złotawym kobiercem u malutkich „jak z pańskoho czerewyczka" (jak z pańskiego trzewiczka) stóp. Ogromne, ciemne jak noc, oczy patrzały wyczekująco na mnie, a drgające płatki powiek, wzniesione do góry, wspaniałe, czarne brwi i prawie niewidoczne, kołysanie się ramion i bioder zdradzały nieprzepartą chęć Krzysi do natychmiastowej ucieczki. Byłem wtedy pewnym siebie i swej wartości młodzieńcem, cieszyłem się opinją nie byle jakiego junaka, zakosztowałem już mocy najlepszego wina, upajającego zapachu żywych, ruszających się, pięknych kwiatów i złudnej słodyczy namiętnych pocałunków. A jednak, olśniony uroczem zjawiskiem, skrępowany dziwnem, dotychczas nieznanem mi onieśmieleniem, zdobyłem się tylko na potrząsanie ujętych w moje dłonie, rąk Krzysi i na nic nie mówiące słowa okolicznościowego podziękowania. Powoli ochłonąłem z pierwszego wrażenia i odnalazłem siebie, a nawrót do żartobliwych wspomnień czasów wspólnego dzieciństwa, oraz barwne opowiadanie jednej z teraźniejszych moich przygód stworzyły miły nastrój, rozruszały milczącą i ukradkiem obserwującą mnie Krzysię i szczerze cieszyły uradowanego Byndasa.

Odjeżdżałem, żegnany serdecznie, pozostawiając obietnicę powrotu z pierwszym, wiosennym krzykiem dzikiej gęsi. „Już nasz sokolik niech będzie spokojny; ja nie mogę, ale Krzysia powiezie, a ona potrafi nie gorzej odemnie" — zapewnia mnie na pożegnanie Byndas. Cztery tygodnie z niecierpliwością oczekiwałem nadejścia wiosny i ani wir wielkomiejskiego życia, ani zbliżająca się możność nasycenia się do woli uciechami łowca na pysznych terenach „rozsypów" nie mogły stłumić nieokreślonej tęsknoty za skromną chatynką Byndasa i nie zdołały zatrzeć wspomnienia chwili ukazania się „Byndasowego czortyniaty".



Mistrz Lwowa w strzelaniu do rzutków na r. 1931, p. Konstanty Łyskowski.

Łagodnie, bez zwykłych wstrząsów i wysiłków nadeszła oczekiwana, młoda Pani, znacząc swe przybycie płynącą od morza, nocną symfonją wiośnianych grajków, i szemraniem igrających fal, i chóralną pieśnią po długiej wędrówce, witających ziemię, skrzydlatych, wiecznych tułaczy.

Byłem oczekiwany, jak dawniej, u stóp pochylonego ciężarem lat krzyża; tylko zamiast powolnego w ruchach Byndasa spotkało mnie małe, zwinne stworzonko, ubrane w krótki, barani kożuszek i niezgrabne, chłopskie buty. Nakazując furmanowi wyjechać po mnie w południe i oczekiwać na brzegu naprzeciw chaty Byndasa, ruszyłem za Krzysią do łódki.

Po drodze dowiedziałem się od mojej partnerki, że stan wody jest bardzo niski, że gęsi mało, lecz za to w dużej ilości naleciały rzadkich gatunków kaczki i w stadach trzymają się w pobliżu wzgórka Natałki.

(Dok. n.). GEN. ST. SKRZYŃSKI.



KACZKI.

Starą, trzęsącą na wybojach i korzeniach, bryczką dojechaliśmy aż pod sam brzeg moczaru. Z trudnością wyprostowałem zdrętwiałe z niewygodnej pozycji nogi i ruszyłem za chłopem wyznaczonym mi przez gospodarza. Po piętnastu minutach akrobatycznych skoków z kępy na kępę a czasem dla odmiany w wodę, dotarłem na stanowisko — względnie wysoki brzeg, gęsto porośnięty wysoką trawą i sitowiem. Z prawdziwą rozkoszą wyciągnąłem się na żywym materacu traw i czekałem.

Miało się ku zachodowi. Pyszne, sierpniowe słońce rzucało ostatnie pęki krwawo złotych promieni, zabarwiało rdzawą purpurą niebo, chmury, błota i... gasło, tonąc w bezkresnym oceanie bagnisk i szuwarów. Niebo z jasno-niebieskiego stawało się stalowem, ołowianem, szarem... Ostatnie pociągnięcia promiennego pendzla nakładało misterną warstwą coraz to bledsze pastele na rozciągniętem płótnie firmamentu. Cichły powoli rozświergotane głosy ptactwa — coraz rzadziej rozlegało się piskliwe krzyczenie derkacza, coraz rzadziej przeciągłe kumkanie żab lub jękliwe nawoływanie rybitwy przerywały martwotę ciszy wieczornej.

Gdzieś, w głębi rozległego moczaru zbudził się, drzemiący w skwarze sierpniowego dnia, wicher. Przelatując, lekkiem dotknięciem poruszał kiście trzcin, zginając je w kolejnym, głębokim ukłonie. Jednostajny szum sitowia rozpoczął swą usypiającą, monotonną melodję wieczoru. Nadchodząca noc tajemnicza jak czarne głębie stawów, powiała mistycznem tchnieniem ponad głowami zaczajonych myśliwych.

Rozpoczęła się symfonja wieczorów letnich, ciąg kaczek.

Daleko na ołowianej panoramie nieba ukazała się lecąca gromada kaczek. Czarne, szybko mknące rozpiętymi żaglami lotek, sylwety rozśpiewane potężną melodją lasów, pól i łąk, aromatem zbóż i skwarnych dni sierpniowych. Leciały prędko coraz bliżej, bliżej, aż wreszcie z głośnym pluskiem i łomotaniem skrzydeł, uderzyły piersiami o lśniącą powierzchnię jeziora, wzbijając w górę srebrzysty pył kropel. Suchy grzmot, jeden, drugi, raptowne, gorączkowe łomotanie skrzydeł i szum spłoszonego stada podniosły chwilową wrzawę. A potem znowu, zdradliwa, przyczajona cisza. Tylko kilka zabitych ptaków jaśniejących białem podbrzuszem na rtęciowej powierzchni stawu świadczy wymownie o niedawnej, kaczej tragedji.

Czarne płachty chmur, pędzone przez wiatr, zasuwają zwolna jasną powierzchnię nieba, okrywając gęstym mrokiem bagna, nas wszystkich, a co najgorzej kaczki.

To było całkiem nieprzewidziane. W ciemnościach sylwety ptaków wynurzają się raptownie jak nietoperze, tuż nad głową strzelca. Zaczyna się serja trudnych, ale pięknych strzałów.

Błota zaczynają ożywać. Daleko na drugim końcu jeziora, raz za razem, huczą głucho, stłumione jakby tumanem unoszących się oparów, strzały. Po dobrej chwili, nad atramentową powierzchnią wody słyszę cichy plusk opadających kaczek, ale niekiedy nic nie widzę.

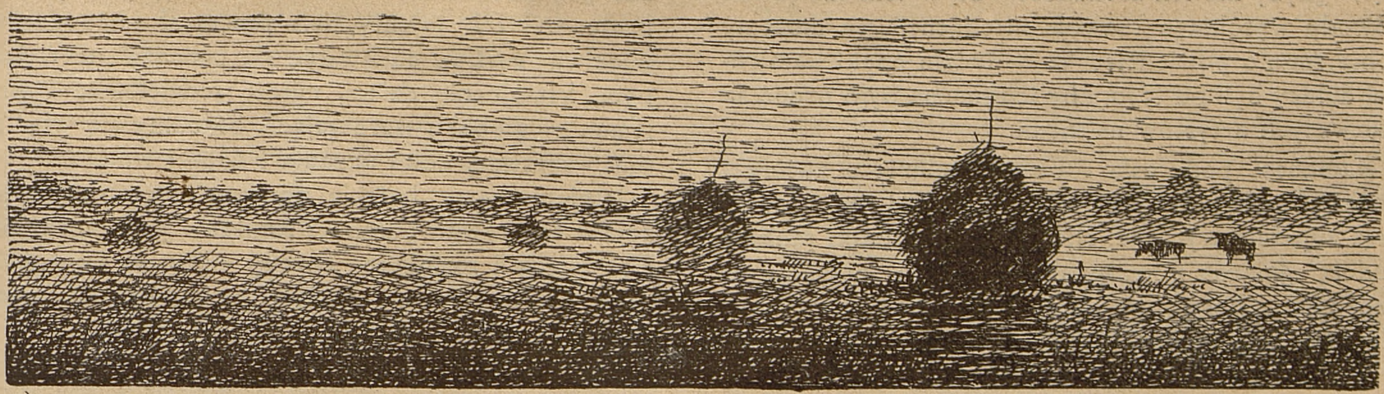
Jestem w poważnej rozterce duchowej, czy opuścić stanowisko, ze względu na owe historyczne, egipskie ciemności, czy czekać dalej. Po chwili wahania decyduję się na to pierwsze. Wstaję, ale w tej chwili elektryzują mnie dwa szybkie wystrzały z lewej strony. Daremnie usiłuję przebić wzrokiem siwo-szarą mgłę. Uśmiecham się zjadliwie sam do siebie, przypominając sobie, swoje marzenia strzelania na tir-aux-pigeons. No! Wspaniale! Przestrzeń pozamgielna jest dla mnie równie tajemnicza i nieodgadniona jak pozamykane klatki gołębi dla strzelca w Monte Carlo. Przeżywam akurat te same emocje.

Psia krew! Tuż nad głową, z szybkością kuli karabinowej, wylatują z mgły cztery kaczki. Lecą tak nisko, że prawie czuję pęd powietrza muskający mi twarz. Bojąc się osypać mego sąsiada, puszczam je za siebie i „referuję" z obu luf prawie na ślepo w znikające w ciemnościach sylwety. Z poza białego obłoku dolatuje mnie martwe klaśnięcie spadającego na wodę ptaka. Dostał!

— „Brawo! Brawo! Ot piękny strzał; no ma pan młode oczy, ja to już nic nie widział — grzmiał nademną głęboki bas mego sąsiada. — No, ale my się wystali, na kolację apetycik dopisze, a?"

Rzeczywiście kolacja się przyda. Czas wracać. Wyjątkowo lekko i prędko, pewnie z powodu dłuższego postu, dobrnęliśmy do czekającej cierpliwie bryczki. Usadowiłem się na koźle, i otulając się w ciepłą burkę, oddałem się rozmyślaniom o kolacji i... (o zgrozo, mam przecież dziewiętnaście lat) o ciepłem łóżku. Dobranoc.

ANDRZEJ KONARSKI.



OKRUTNY PRZESĄD.

W walce, którą się stacza z okrucieństwem, tak rozwielmożnionem, niestety, względem zwierząt, jedną z zasadniczych przeszkód, najtrudniejszą do pokonania, jest głęboko zakorzenione i mylnie ujęte pojęcie wyższości człowieka nad innemi istotami żyjącemi, pojęcie, które stało się kamieniem węgielnym moralności ludzkiej i credo uświęconem wszystkich religij. Z pojęciem tem, jako obarczeniem dziedzicznem, przychodzą dzieci ludzkie na świat; ono od dzieciństwa kształtuje stosunek ludzi do zwierząt i nie opuszcza aż do śmierci, zacieśniając nasze horyzonty myślowe i nie dopuszczając do nich potęgi prawdy.

Tymczasem myśliciele i badacze przyrody podają nam różne fakty z życia zwierząt rzucające poważne i głębokie światło na ich życie wewnętrzne, i które daje duże pole do zastanowienia się nad wysokim poziomem psychiki zwierzęcej. W pięknej, wyczerpującej pracy d-ra Foreau de Courmelles p. t. „Les Facultés mentales des Animaux" („Zdolności umysłowe zwierząt"), w rozdziale XIII p. t. „Śmierć i Sen", czytamy: „Wniknijmy w szereg przykładów, w których zwierzę miesza pojęcie życia i śmierci i z rozpaczą, podobną ludzkiej, nie chce dopuścić do siebie świadomości śmierci istoty ukochanej, i szuka w niej śladów życia...

„Widziano sójki ,które krążyły dookoła trupa swego towarzysza zabitego i rozpostartego jako „straszak" dla ptaków, i nie chciały go opuścić. Samica pewnego gołębia, który uległ takiemuż losowi, pozostała na miejscu egzekucji i rozpacznie krążyła dookoła martwych zwłok swego towarzysza. Po upływie kilku dni ślady jej nóżek wydeptały dookoła owych martwych zwłok głębokie brózdy, wzruszająca jednak ta wdowa nie przerwała ani na chwilę kołowania w tragicznym swoim kieracie, dopóki nie zabrano zwłok jej ptasiego męża. Ara, którego samica została zastrzelona, podążył za myśliwym, który ją zabił, aż do jego domu do miasta i tam, rzuciwszy się na jej zwłoki, leżał przy nich apatycznie, pozwalając dotykać siebie rękami ludzkiemi! Lamy stawiają mężnie czoło strzałom myśliwych i nie chcą opuścić zwłok swego samca, przewodnika stada, jakgdyby uważały, że śmierć jego nie przecięła mocnych węzłów, które je z nim złączyły za życia".

Znana jest powszechnie, opisana przez Soniniego, historja psa wiernego, który nie chciał opuścić grobu swego ukochanego pana (we Francji, cmentarz „des Innocents" — niewinnych), pozostał na nim szereg lat, nie opuszczając go ani na chwilę, nawet w najgorsze pory roku, litościwie karmiony przez służbę cmentarną i publiczność odwiedzającą groby swoich blizkich. Inny znów pies nie opuścił zwłok swego pana rozstrzelanego w Lyonie za czasów Teroru (w okresie rewolucji francuskiej) i zginął sam w końcu przy nim.

Pewien orangutang zrozpaczony śmiercią swego przyjaciela, również orangutanga ,zabitego przez myśliwych, porwał, po stoczonej z nimi walce, jego zwłoki i uniósł je z sobą. A oto co pisze w swej pracy „Odkrycie świata" dr. E. Jaworski, pracy ogromnej doniosłości, którą wszyscy przyjaciele zwierząt powinni dobrze znać i posiadać: „Co się tyczy wysokiego poziomu inteligencji zwerząt, już przykłady z życia mrówek, ich sposób prowadzenia wojen i polowań, wykazują, że rozwój ich umysłowy przewyższa znacznie rozwój umysłowy ludów pierwotnych".

Badacze życia mrówek wszyscy dobrze wiedzą, że np. grabież dokonywana przez mrówki w czasie ich operacyj wojennych, odbywa się albo po tłumnem wybiciu plemienia pokonanego lub wzięcia go w niewolę. Bywają jednak wśród mrówek-zwycięzców osobniki wspaniałomyślne, które zadawalniają się uniesieniem pokonanych na pewną odległość, gdzie ich puszczają wolnych, — nie czyniąc im żadnej krzywdy!

A pszczoły?! Romanes, sławny uczeń Darwina, mówi, że najciekawsze w nadzwyczajnym systemie pszczół przewietrzania ula jest to, że udoskonalenie owo jest widocznym rezultatem stanu ich hodowli i że źródła jego pochodzenia nie można podciągnąć pod żadne pojęcie instynktu. Jest wynikiem praktycznego doświadczenia nabytego w pewnych warunkach bytu.

Jak twierdzi Maeterlink, w przepięknej swej pracy „Życie pszczół", mamy całą moc dowodów, że przemysł i polityka roja pszczelnego nie są ujęte w formy niezmienne. Często się widzi, z jaką umiejętną zręcznością potrafią pszczoły przerobić i przystosować do swoich potrzeb najbardziej nieodpowiedni dla nich ul, do którego zostały wprowadzone, a w którym mogłyby się czuć zbite z tropu i wygi-

nąć, gdyby nie ich zaradność. Są w tem tak jawne dowody wysokiego rozwoju inteligencji, że możemy sobie śmiało powiedzieć, iż — ludzie epoki kamiennej dalecy byli od tego, aby ich można było uznać za pierwszych artystów na ziemi.

Ramanes podkreśla również istnienie u zwierząt dużej potrzeby estetyki. Pojęcie piękna jest u zwierząt zupełnie wyraźne. Niektóre np. gatunki ptaków budują gniazda z krużgankami, które przystrajają ozdobami z barwnych piórek, muszli i kamyków. Krużganki te przeznaczone są na przybytki miłości, w których samiec odbywa zaloty do wprowadzonej tamże samiczki, i dlatego stara się uprzednio przybytek ten upiększyć. Jak głęboko to jest zakorzenione u tych gatunków ptaków ,dowodzi tego fakt, że ptaki te (tkacze) nawet w niewoli zwyczaju tego nie zatracają.

Czemże jest wobec tego czarującego wyrafinowania uboga, obdarta ze wszystkiego piękna, cywilizacja ludów pierwotnych?...

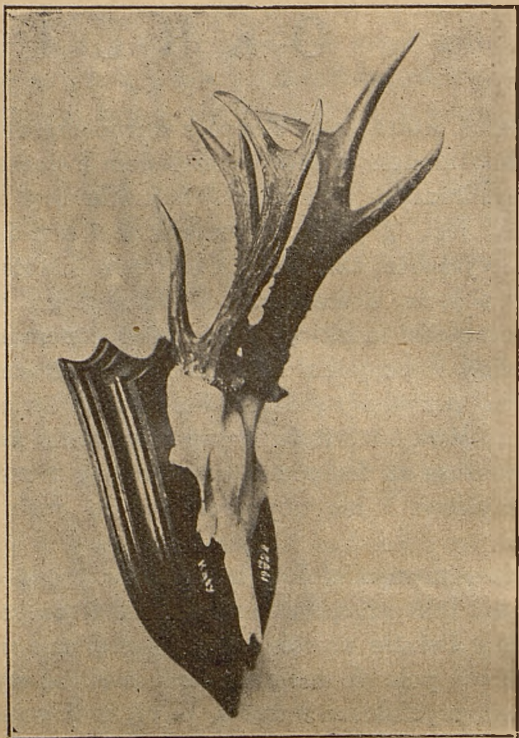
Niezaprzeczalnie, czemże jest u pszczół ich pomysłowość, szybkość decyzji, wysoki zmysł administracyjny; u mrówek ich pracowitość, bojowniczość, plany wojenne, sentyment wspaniałomyślności i litości dla pokonanych; u ptaków ich sztuka stwarzania piękna pod wpływem uczuć miłosnych?!...

Kto, pytam, z ludzi o umyśle głębokim i niezależnym, i mocnem sercu nie będzie wolał wchłonąć w siebie wielkie tchnienie, które przenika stworzenie świata, gdzie tajemnica życia hojnie szafuje niezliczonymi zastępami istot, z których każda odgrywa rolę równej wagi, ponieważ wszystkie współpracują dla harmonji ogólnej — zamiast wyjaławiać swój umysł i zacieśniać hozyzonty myślowe pojęciem ograniczonem świata, w którym człowiek panuje, z własnej woli i zarozumiałości, pomimo wielkiego często ubóstwa intelektualnego — nad zwierzęciem, doskonałem jestestwem świadomem.

Bądźmy skromniejsi i w stosunku do tych, którzy nas poprzedzali w łańcuchu ewolucyjnym życia — braterscy! Ich talenty, ich przemysł — godne są podziwu; gorliwe oddawanie się obowiązkom rodzinnym, kształcenie dzieci, miłość rodzicielska i wzajemna — głęboko wzruszające. Skłońmy się więc ku nim wszystkim pełni uznania i dobrej woli.

Istnienie nasze, ludzkie, pomimo zewnętrznych pozorów tak często ponure i smutne, przeistoczyłoby się wtedy i napełniło czystą radością i pokojem, gdyż oto oczy nasze otwarłyby się dla prawdy, a serca — dla miłości, bez hierarchji!

JANINA MASZEWSKA-KNAPPE.



Parostki 10-taka zabitego przez dyr. Zygm. Fraczkowskiego w nadl. państw. Kąty pod Poznaniem.

LUŹNE UWAGI NA TEMAT „POPRAWIANIE STANU GŁUSZCÓW".

Ustalenie prawdziwych przyczyn zanikania pewnego gatunku zwierzyny w łowisku, należy do rzeczy bezsprzecznie bardzo trudnych, gdyż przyczyn takich może być bez liku. Właściciel łowiska nie wnika zazwyczaj głębiej w tło sprawy i skłonny jest bardzo pochopnie przypisywać winę zanikania kłusownictwu, drapieżnikom, ostrej zimie i t. p. czynnikom; tymczasem powody mogą być inne, a tem samem ewtl. zarządzone środki zapobiegawcze będą bezcelowe, a często nawet mogą sprzyjać dalszemu ubywaniu zwierzyny, bo na co np. tępić nadmiernie lisy, kiedy przyczyną dziesiątkowania bażatów lub zajęcy w rewirze jest pomór, a nie jak przypuszczano — nadmiar drapieżników.

W danym wypadku tępienie lisów i innych drapieżników odniesie skutki wręcz przeciwne, gdyż lisy spełniają rolę t. zw. policji sanitarnej wśród zwierząt, łowiąc chore sztuki, nie dopuszczając tem samem w części do roznoszenia zarazków chorobotwórczych.

Jest to jeden z przykładów, ilustrujący dobitnie, do jakich sprzeczności doprowadzić może błędne postawienie „djagnozy".

Dlatego też trzeba, zanim się przystąpi do stosowania jakichkolwiek środków zaradczych, starać się wniknąć w przyczynę ubywania zwierzyny, biorąc pod uwagę każdy, najdrobniejszy nawet szczegół mogący mieć pewne znaczenie dla oświetlenia zaniku.

Jednym z kardynalnych błędów, popełnianych często przez nas w stosunku do racjonalnej hodowli zwierzyny, a przedewszystkiem zwierzyny rzadko u nas występującej, jest nadmierna jej ochrona. Brzmi to może paradoksalnie, ale faktycznie tak jest. Za słaby

odstrzał pewnego gatunku zwierzyny jest często przyczyną jej zaniku, a conajmniej zmniejszania się jej w danem łowisku.

Polowałem kilkanaście lat temu na jednym z większych majątków na Pomorzu; stan sarn, zajęcy i kuropatw był bardzo dobry.

Właściciel — niemyśliwy, pozostawił borowemu wolną rękę w wykonywaniu odstrzału, z którego on oczywiście skwapliwie korzystał, strzelając w pierwszym rzędzie kozły i zające, a zimą również i lisy; do kuropatw wogóle nie strzelał, gdyż nie posiadał dobrego psa, a głównie dlatego, że „strzał się nie opłacał".

Rezultatem tak „bezwzględnej" ochrony było to, że ilość kuropatw z roku na rok się zmniejszała, a dziś— po 8 latach — kuropatwy należą tam do rzadkości.

Identycznie przedstawia się sprawa u głuszców.

Znam kilka łowisk, w których mimo należycie otoczonej opieki i słabego odstrzału, stan głuszców się nie powiększa, a w niektórych wypadkach z roku na rok nawet zmniejsza, a przyczyną tego jest właśnie, jak stwierdzono, za słaby odstrzał kogutów, a przedewszystkiem kogutów starych, które nie dopuszczają do tokowania kogutów młodych; koguty młode rozpraszają się więc po lesie, rozbijając tem samem tokowisko.

Nie chcę propagować „rzezi" głuszców; chodzi mi jedynie o to, by przeprowadzono racjonalny i celowy odstrzał, biorąc pod uwagę powierzchnię łowiska, stan głuszców, warunki bytu i dobór płciowy. Tam, gdzie tokowiska leżą w sercu wielkich, leśnych obszarów, gdzie w razie rozbicia jednego tokowiska, niema obawy, by głuszce rozproszyły się do innego łowiska, np. chłopskiego lub za granicę Państwa, tam rozbicie tokowisk nie jest takie groźne w następstwach, gdyż głuszce zostaną w łowisku.

W danym wypadku chodzi mi o nieliczne tokowiska na kresach zachodnich, gdzie głuszce należą do rzadkości. Utrzymywanie i powiekszanie stanu głuszców, szczególnie na Pomorzu, musi być naszym obowiązkiem, gdyż świadczyć będzie zawsze o wysokiej kulturze łowieckiej naszego kraju.

Jednym z dalszych powodów zaniku głuszców jest nadmierna ochrona borsuków w rewirach głuszcowych.

Ochrona ta jest częściowo — że tak powiem — „przypadkowa", ostatnio jednak zostaje coraz bardziej propagowana przez czynniki miarodajne.

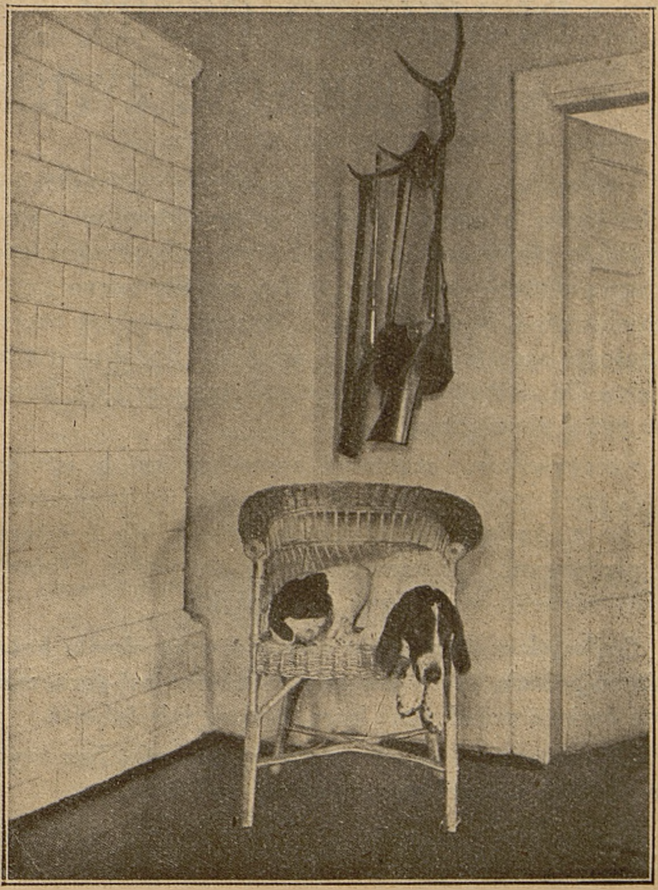
Nie można zaprzeczyć, by borsuk nie był pożyteczny; ileż zjada on jako „wszystkożerny", podczas nocnych swych wedrówek, pędraków; ileż poczwarek poprocha, sówki i innych szkodników leśnych, ale z drugiej strony — ileż niszczy gniazd ptaków gnieżdżących się na ziemi wzgl. tuż nad ziemią. I w tem właśnie tkwi szkodliwość jego dla lęgów głuszców.

Twierdzenie, że borsuków jest coraz mniej u nas, jest bezpodstawne, a oparte przypuszczalnie na tajemniczym, nocnym jego trybie życia: rzadko borsuka spotkać można, a jeżeli, to najczęściej rano, przed wschodem słońca, wracającego śpiesznie do nory. Obecność i przypuszczalna ilość borsuków w łowisku łatwo stwierdzić i ustalić po charakterystycznych „miniaturowych śladach niedźwiedzich", z wyraźnie odznaczającemi się w ziemi poduszkami i długimi pazurami.

Dalszą przyczyną zmniejszenia się stanu głuszców są często nieodpowiednie dla nich warunki bytu.

Brak w okolicach lęgowych głuszców, odpowiednich ilości żwiru, koniecznie potrzebnego głuszcom do należytego trawienia, jest powodem, że głuszce w poszukiwaniu odpowiedniejszych warunków bytu, opuszczają dotychczas zajmowane łowiska.

Umiejscowić głuszce łatwo. Wystarczy w rewirach wzgl. oddziałach, w których głuszce zwykle się zatrzymują, a lepiej jeszcze niedaleko miejsc, gdzie zauważono gnieżdżące się głuszyce, rozsypać kilka kup drobno, wzgl. średnioziarnistego żwiru.



W oczekiwaniu sezonu. Fot. Stan. Rasiński.

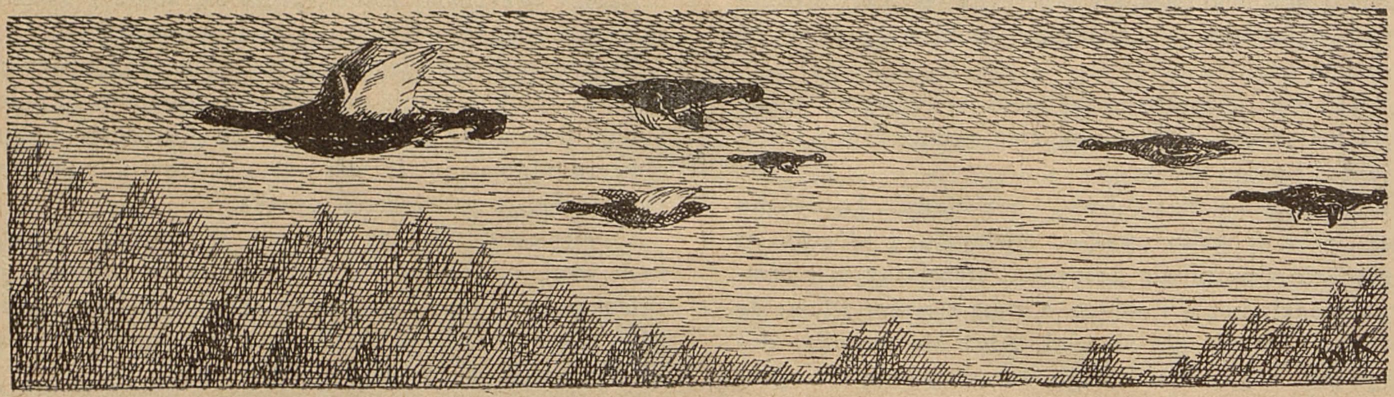
Obserwowano również, że głuszce specjalnie chętnie zatrzymują się w okolicach, w których istnieją warunki, ułatwiające głuszcom stwarzanie sobie t. zw. paprzysk, w których mają możność kąpać się i oczyszczać z licznie napastujących je pcheł i innego robactwa.

Paprzyska takie łatwo stwarzać, spalając kilka kup gałęzi, chróstu, kory i t. p. niedaleko tokowisk wzgl. miejsc lęgowych. Popiołu nie należy rozgarniać.

Głuszce już kilka dni po spaleniu kup chętnie odwiedzają te paprzyska.

Na zakończenie pragnę jeszcze raz zaznaczyć, że zalecając m. i. zwiększony odstrzał, mam na myśli jedynie racjonalny odstrzał, proporcjonalny do wielkości łowiska, stanu głuszców i doboru płciowego, a nie odstrzał ilościowo - rekordowy, na którą to manję choruje niestety wielu — „nemrodów".

INŻ. LEON OSSOWSKI.
Nadleśn.



DLACZEGO OSTRY „ANGLIK" MOŻE ŁATWIEJ PRZEPUŚCIĆ ZWIERZYNĘ NIŻ „NIEMIEC".

Zwolennicy polowania z psem rasy niemieckiej, jako jeden z poważniejszych argumentów w walce o palmę pierwszeństwa ras, wysuwają przezorność i skrupulatność w pracy; cechy, znamionujące krótkowłosego i długowłosego, a jeszcze bardziej ostrowłosego, szorstkowłosego i wreszcie pudel-pointera, który dla różnych powodów zaliczany zwykle bywa do psów niemieckich.

Rzeczywiście, argument powyższy jest b. istotny przy porównywaniu rozlazłych ruchów wyżła niemieckiego z „szalejącym" galopem settera lub pointera, z pierwszymi kwadransami lub godzinami roboty nieznużonego w chodach irlandczyka.

Podkreślam świadomie owe pierwsze chwile hulania po polach, wtedy bowiem najłatwiej jest gorącemu psu ominąć pojedyńczą kurę, bekasa lub dubelta.

Pies niemiecki wogóle musiałby pozostać bez użytku, gdyby nie był skrupulatny i ostrożny.

Przezorność, ostrożność przy szukaniu nietylko, zdaniem mojem, jest wynikiem temperamentu, lecz przedewszystkiem konsekwencją znacznie słabszego wiatru. Dlatego też rzadziej zdarza się przeskoczyć i spłoszyć tym skokiem „niemcowi", bo pies ten, czując swoją słabą stronę i mając oczywiście we krwi zasadniczą cechę legawców — wytrzymanie — chodzi ostrożnie i dłużej bada nosem powietrze, zanim zdecyduje się postąpić naprzód. Postępując w ten sposób podczas swej pracy, rzadziej również powinien opuszczać zwierzynę, bo nie zdąży przeskoczyć odwiatru.

„Anglik", pewny swego powonienia, z wrodzonem zamiłowaniem do utrzymywania podczas pracy ogromnego tempa, — do rozciągniętego ze wszystkich, tak znacznych sił swoich — galopa, choćby już przy średnim tylko nosie, który przecież dla „niemca" mógłby być uważany za fenomenalny, popełnia dość częste błędy, opuszczając pojedyńczo siedzące sztuki.

Przy tej samej zdolności wietrzenia, a znacznie wolniejszych chodach zostałby psem użytkowym doskonałej klasy. Oczywista, — że przytaczam w tej chwili przykład, który można zawsze sprawdzić i to z dobrem, matematycznem przybliżeniem — po nałożeniu takiemu psu szelek gumowych, zmuszających do poruszania się kłusem.

W swej praktyce widziałem psy, które w pierwszych latach życia, (już po nabraniu jednak doświadczenia) uchodziły za ledwie znośne, natomiast w czwartem, piątem polu sprawiały się zupełnie dobrze.

Niektórzy skłonni są przypisywać takie objawy rutynie lub, co się nie rzadko słyszy, poprawieniu wiatru. A mnie się zdaje i nawet pewny jestem, że tą przyczyną poprawy jest poprostu wiek psa, który robi go wolniejszym.

Przy pomyłkach, objawiających się przepuszczeniem, ominięciem zwierzyny, zasadniczą i podstawową rolę odgrywa nie co innego, jak szybkość psa.

Dla bardziej wyrazistego zilustrowania opuszczeń, pojedyńczo np. siedzących, rozbitych kur pozwolę sobie zanalizować ruch pointera i porównać go z takąż analizą ruchu wyżła niemieckiego.

Pragnąc uniknąć w tym wypadku posądzeń o faworyzowanie tej lub tamtej rasy, nie stawiam w założeniu cyfr właściwych ruchowi bardzo szybkiego i bardzo powolnego chodu, ale staram się wziąć pod uwagę przeciętną szybkość zdrowych, rasowych psów.

Jeśli przyjmiemy, że dobre, cugowe konie przebiegają 1 klm. w trzy minuty, to temsamem musimy uznać, iż pointer pracując normalnie, pokona tę przestrzeń w dwie i pół minuty. Przy tej szybkości wyłączam szukanie po kartoflach, burakach, gęstej i wysokiej seradeli, oraz koniczynie lub łubinie.

Idźmy dalej drogą zwykłego rachunku.

Skoro pies robi 1000 mtr. w 2 i pół minuty — zatem w sekundę przebiega 6.6 mtr

Wyżeł niemiecki, przy niezłych chodach, na przebycie 1000 mtr. musi zużyć przynajmniej 6 minut czasu — zatem w przeciągu sekundy posuwa się o 2,8 mtr.

Kwestja oddychania w czasie biegu i to biegu szybkiego stanowi podstawę niniejszych rozważań i dlatego musi być rozpatrywana.

Nie popełnię chyba błędu, przyjmując, że najszybszy oddech, składający się jak wiadomo, z dwóch faz,

t. j. wdechu i wydechu, przy maksymalnej pracy serca i płuc nie może być częstszy niż raz na sekundę (w okresie wytężonego oczywiście ruchu). Przy wypoczynku, następującym po forsownej pracy, a zatem po najforsowniejszej pracy, jaką dla organizmu zwierzęcego przedstawia szybki ruch, — oddech się zazwyczaj przyśpiesza, lecz w czasie tego ruchu zawsze bywa znacznie wolniejszy.

Czytałem gdzieś, że szybkobiegacze, startujący na 100 mtr. oddychają na tym dystansie zaledwie 3 — 4 razy. Rzecz prosta, że tych danych nie możemy brać pod uwagę, gdyż bieg ludzki, 100-metrowy jest połączony z nadzwyczajnymi wysiłkami i nosi cechy forsowania, trwającego kilkanaście zaledwie sekund.

Faza wdechu, przy regularnym ruchu i w zdrowym organizmie trwa tyleż czasu, co wydech. Tylko zwierzęta cierpiące na rozedmę płuc (dychawicę) posiadają właściwość szybszego wydychania.

Biorąc zatem pod uwagę dwufazowy takt oddychania, musimy przyjść do wniosku, że w biegu pointer podczas wydechu przebiega 6,6 mtr. : 2 = 3,3 mtr., wyżeł niemiecki zaś w identycznej sytuacji zrobi 2,8 mtr. : 2 = 1,4 mtr.

I w tem właśnie leży zasadnicza różnica powodująca pomyłki w formie przepuszczenia, „przeoczenia".

Przypuśćmy, że pies przebiega, przy bocznym wietrze, o 10 kroków od zapadłej kuropatwy.

Odwiart zwierzyny rozchodzi się wraz z kierunkiem wiatru w kształcie ściętego stożka, którego górną część (wierzchołek) stanowi sama zwierzyna. Jeśli przyjmiemy szerokość kuropatwy, czyli średnicę górnej płaszczyzny stożka odwiatru równą 10 cm., to stożek ten w odległości 10 kroków — nazwijmy to podstawą stożka, — będzie posiadał średnicę nie większą chyba niż 40 — 50 cm.

Pies, wpadając w ową „cuchnącą" falę, nie zawsze przecież wciąga powietrze, ale równie często wypuszcza je z płuc i gdy na ten odwiatr natrafi podczas aktu wydechu, to oczywiście **musi** „przepuścić" zwierzynę, której woń byłaby go bezwarunkowo zatrzymała w fazie wdechu.

Wziąłem przykład, gdzie strumień odwiatru liczył 50 cm. Dla jaskrawszego przedstawienia szans „anglika" i „niemca" (na przepuszczenie zwierzyny) weźmy przykład, gdzie dwie lub trzy sztuki „skamieniałych" kur pies mija w odległości np. 20 kroków.

Powiedzmy, że kury siedzą dość blisko jedna od drugiej i że w odległości 20 kroków podstawy stożków odwiatru stanowią już wspólną płaszczyznę, a strumień odwiatru wspólną warstwę o średnicy 2 metrów.

Wyżeł niemiecki, przy najbardziej niesprzyjających w tym wypadku warunkach, — podczas wydechu — jak to wyliczyłem, trwającego na przestrzeni 1,40 mtr. posiada jeszcze „zapas" w postaci 60 cm. fali „cuchnącej".

Pies angielski i pokrewne mu rasą, przy wydechu trwającym na przestrzeni 3,30 mtr. mija ową „cuchnącą" falę szerokości 2 metr. i ponadto robi jeszcze 1,30 mtr. zanim zacznie wciągać powietrze. A zatem — zwietrzyć w tej fazie, idąc nawet po tropie „niemca" — nie może.

Najbardziej więc niepomyślny dla „anglika" lub irlandczyka przy podobnych porównywaniach, jest boczny wiatr...

Ostry pies, z dużą jednocześnie praktyką polową, z wieloletniem doświadczeniem, unika tego bocznego sprzymierzeńca, starając się manewrować nosem pod wiatr, a siłą rzeczy, wiek hamuje ponadto dawną jego szybkość.

W ten sposób starsze psy, ale tylko z dużą praktyką, nie robią pomyłek tak zdawałoby się charakterystycznych dla okazów cieszących się niespożytą siłą, energją i lekkością ruchów.

JERZY DYLEWSKI.

Szukanie wyżła nie jest tylko mechanicznem „pokrywaniem" pola w szybszem lub wolniejszem tempie. Podczas szukania musi także pracować inteligencja psa. Psy młode, głupie, pozbawione doświadczenia i metody w pracy, w szczególności także w szukaniu, lub o charakterze „trzpiotowatym" będą zawsze omijały zwierzynę, niezależnie od rasy, do której należą. Stąd też pochodzi wpływ wieku na skuteczniejsze szukanie, na co zwraca uwagę Sz. Autor. — *Przyp. Red.*

POLOWANIE Z WYŻŁEM NA BEKASY.

Gdy młody nasz wyżeł nie zdradza już obawy przed wodą i chętnie w niej brodzi i pływa, możemy go wtedy spokojnie wziąć z sobą na polowania błotne i wodne. Ażeby i do tego polowania stopniowo go przyzwyczaić, oraz należycie wyszkolić, idziemy z nim najpierw na bagniste, łąkowe smugi i niżej położone pastwiska, pozalewane miejscami wodą, gdzie bekasy zatrzymują się chętnie w swych wędrówkach.

Praca ta nie sprawia ułożonemu psu żadnych nadzwyczajnych trudności, tembardziej, gdy w samych początkach szukać mu rozkażemy w miejscach bardziej płytkich, gdy natomiast przejdziemy następnie w więcej bagniste tereny, gdzie wolniej i ostrożniej sami już kroczyć musimy, wtedy należy dać młodemu psu do zrozumienia, że krótko przed nami szukać powinien, co osiągamy za pomocą częstych zwrotów to w tę, to w ową stronę, a wkrótce pies pojmie, jak zachowywać się tu powinien.

Jeśli jest to wogóle możliwe, to czyńmy w samych początkach poszukiwania tylko pod wiatr, ażeby psu robotę ułatwić i prędzej ją pojąć zdołał. Do pierwszego, podrywającego się bekasa nie strzelamy wcale. Gdyby pies miał do niego prawidłowo podciągnąć i wystawić i gdy przytem zachowuje się spokojnie i rozważnie, wtedy już możemy śmiało strzelać.

Bekas podrywa się szybko i w pierwszych momentach leci nisko w prostej linji, a wtedy strzał do niego nie sprawia myśliwemu wielkich trudności, po chwili jednak lot swój zygzakowato zaraz zmienia i coraz szybciej i wyżej się wznosi, a wtedy

podobny, opóźniony strzał staje się coraz trudniejszym, a dlatego należy zawsze możliwie szybko się składać i natychmiast strzelać, zaraz po poderwaniu się ptaka, w przeciwnym bowiem razie łatwo go chybić można, gdy bujać w przestworzu na dobre pocznie.

Pierwszemu strąconemu ptakowi wyciskamy za pomocą ucisku brzusznej jego jamy, nieco odchodów i pocieramy tymiż psu nos, ażeby zaraz z samego początku wzbudzić w psie do tych ptaków większe zainteresowanie, bywają bowiem niekiedy wypadki, że niektóre wyżły nie zwracają narazie na te niewielkie ptaki należytej uwagi, a gdy to zauważymy, wtedy należy manipulację z pocieraniem psu nosa, kilkakrotnie jeszcze powtórzyć przy następnych, ubitych ptakach, co wreszcie pożądany skutek odniesie *). Celem większego zainteresowania psa, kładziemy również świeżo ubitego bekasa w środek jakiego krzaczka, lub kępy trawy, a po chwili dajemy psu doń podejść, wynaleźć go i przyaportować, co uwagę naszego młodego wyżła znakomicie zaostrza. Dopilnujmy jednak, ażeby koniecznie krótko przed nami szukał i zbyt daleko nie oddalał się od nas, gdyż wtedy bekasy podrywać się będą dalej, co nam oczywiście strzały utrudni.

Gdy na małą ilość bekasów natrafimy, wtedy dla lepszej wprawy psa, rzucamy zastrzeloną sztukę na głębszą wodę jakiej kałuży i rozkazujemy psu aportować. Dobrze ułożony pies powinien aportować szybko, oraz bezwarunkowo nie gnieść ptaka; gdy jednak polujemy na bekasy z psem, który te małe ptaki przy aportowaniu zbyt silnie chwyta i gniecie, wtedy łapiemy go za kark, rozkazujemy mu przysiąść na zadzie, ujmujemy lewą ręką mordę jego od góry i mocno przyciskamy palcami fafle do kłów, ażeby pysk otworzył, w który wkładamy następnie ubitego ptaka; gdy zaś znowu zbyt mocno i łapczywie go uchwyci, oraz gnieść pocznie, wtedy przyciskamy natychmiast mocniej psu wargi do jego kłów, wołając jednocześnie groźnie „lekko"! Powtarzamy to częściej, aż wreszcie pies delikatnie i to drobne ptactwo aportować się nauczy.

Podczas tego rodzaju polowania, strzelamy dla lepszej wprawy naszego młodego wyżła również i do wszelkich innych napotykanych ptaków, jak do derkaczy i dubeltów, gdy przypadkiem i na nie natrafimy, a wreszcie nawet i do czajek, których w takich miejscach zwykle nie braknie. Po kilku takich polowaniach, orjentuje się nasz młody wyżeł już doskonale i coraz większej wprawy w tem nabiera.

Jesienne przeloty bekasów zaczynają się u nas w końcu sierpnia i w początkach września. Zalatują zazwyczaj na niżej położone pastwiska, mokre i bagniste łąki, gdzie zatrzymują się dla żeru na krótko, najwyżej na kilka dni. Dostrzegłszy ich przylot, należy skorzystać z dobrej okazji, by móc na nie zapolować, gdyż nie zatrzymują się one w danem miejscu na dłużej i zwykle po 2 — 3 dniach ciągną dalej na inne, świeże żerowiska. To samo odnosi się również i do dubeltów, na które tak samo z wyżłem polujemy.

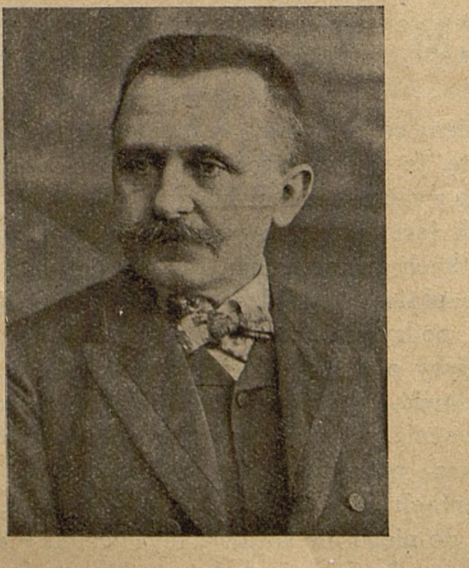
EMIL KARNEY.

*) Najlepiej jest wtedy strzelać do każdego porywającego się bekasa, bez względu na odległość i szanse zabicia. Pies zauważywszy, że bekas jest zwierzyną, do której się strzela, wkrótce zacznie go wystawiać. Przyp. Red.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

Ś. † P.

FRANCISZEK EJSMOND



Dnia 13-go bieżącego miesiąca zmarł w Warszawie ś. p. Franciszek Ejsmond, wybitny artysta - malarz, b. prezes Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.

Ś. p. Franciszek Ejsmond był ojcem tragicznie zmarłego poety i b. redaktora „Łowca Polskiego", ś. p. Juljana. Zmarły był też zamiłowanym myśliwym i utrzymywał stały kontakt z redakcją przedwojennego „Łowca Polskiego", którego był kierownikiem artystycznym.

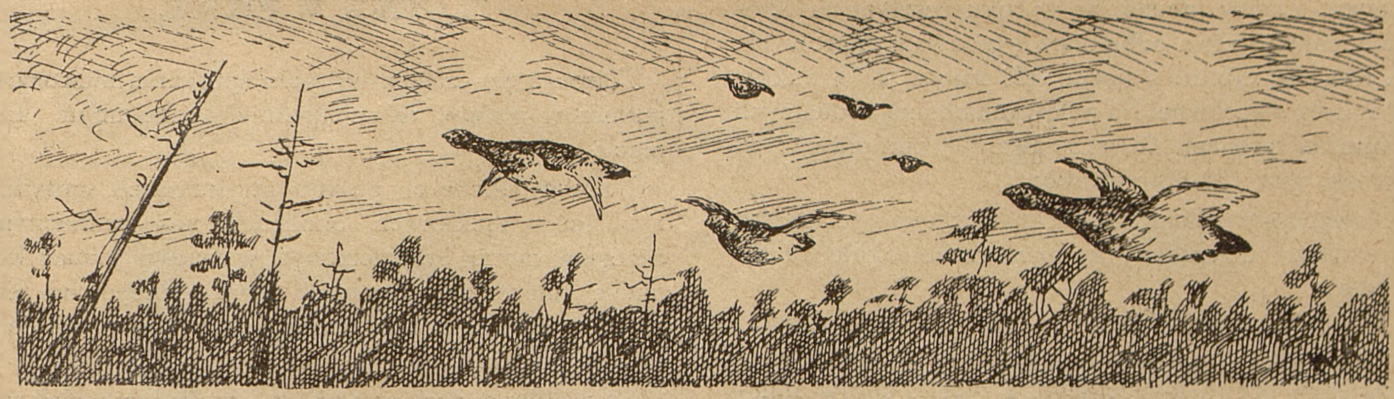
Wymieniono też ś. p. Franciszka jako współpracownika literackiego w pierwszym numerze „Łowca Polskiego", który ukazał się w kwietniu 1899 roku.

Urodzony w 1859 roku we wsi Krogulowej pod Radomiem, bardzo młodo przybył do Warszawy i zapisał się do Warszawskiej Szkoły Rysunkowej pod kierunkiem Gersona. Następnie wyjechał do Monachium. Słynny był Jego obraz „Besarabka" reprodukowany w ilustracjach angielskich i francuskich.

Wiele Jego obrazów weszło do zagranicznych zbiorów i galeryj. Urządził sto zgórą wystaw malarskich.

Zgon ś. p. Franciszka Ejsmonda okrywa żałobą wdowę, p. Marję z Wieniawskich, poetkę i literatkę, oraz syna Stefana, który również z wielkiem powodzeniem poświęcił sie malarstwu artystycznemu.

Cześć Jego pamięci!



O ZWIERZYŃCU W WILNIE.

Do niedawna jeszcze, pod względem ilości zwierzyńców, Polska zajmowała wśród państw europejskich jedno z ostatnich miejsc. Albowiem w chwili odzyskania niepodległości, na ziemiach naszych znajdowały się zaledwie dwa ogrody zoologiczne: w Poznaniu i Lesznie. Zoolog poznański był największym i najwspanialszym zwierzyńcem polskim, dopiero w roku zeszłym dorównał mu na tem polu Waszawski Ogród Zoologiczny. W ciągu ostatniego dziesięciolecia powstaje szereg nowych zwierzyńców, a mianowicie w Warszawie i Katowicach, oraz mniejsze w Krakowie, Częstochowie i Grodnie.

W artykule niniejszym pragnę wspomnieć o nowopowstającym i dlatego najmniej ze wszystkich znanym zwierzyńcu w Wilnie.

W roku 1921 założony został zakład pod nazwą ,,Szkolna Pracownia Przyrodnicza" Jest to muzeum przyrodnicze razem z pracowniami do ćwiczeń z dziedziny fizyki, chemji i biologji. Zakład ten, dzięki niezmordowanej pracy dyrektora Aleksandra Dmochowskiego, posiada obecnie bogate zbiory przyrodnicze i kompletne wyposażenie pracowni, oraz piękny ogród botaniczny, będący centralą szkolnych ogródków botanicznych na prowincji. Parę lat temu zaprojektowano utworzenie przy wyżej wspomnianym zakładzie, ogrodu zoologicznego i przystąpiono do jego realizacji, która nader szybko posuwa się naprzód, tak, że obecnie Zoolog wileński posiada już około trzydziestu gatunków zwierząt i ptaków, a liczba ta stale wzrasta, dzięki darom dość obficie napływającym.

Ze zwierząt ssących widzimy tu piękny okaz samicy - wydry, do której dyrekcja ogrodu nadaremnie jak dotąd, poszukuje samca, zamieszkującej basen z wodą, dalej w oddzielnej klatce przebywa para borsuków, a w ich bliskiem sąsiedztwie znajduje się klatka basiora wilczego, oczekującego na przysłanie mu żony. Trzy sarny mają swoją zagrodę w pobliżu lisów, których Zoolog wileński posiada dwa okazy i jednego przedstawiciela rodu dziczego. Z mniejszych zwierząt widzimy samicę tchórza, parę wiewiórek, zająca, morskie świnki, jak również myszy i szczury białe, oraz pstre, szare z białem.

Ptaki mieszczą się bądź to w klatkach, bądź to w budynku przerobionym na woliery, gdzie przebywają: orlik, para myszołowów, trzy sowy - puszczyki, pustułeczka, dalej para bocianów, para kaczek - krzyżówek, bąk, para kruków, sroka, sójka, panterki i drobne ptactwo śpiewające. Z płazów są tu zaledwie dwa nasze żółwie błotne.

Znaczenie dydaktyczne wileńskiego zwierzyńca jest wprost olbrzymie ze względu na frekwencję szkół przerabiających w pracowni doświadczenia i słuchających wykładów z dziedziny przyrodoznawstwa, to też dyrekcja dokłada wszelkich starań, by tę placówkę naukową możliwie jaknajbardziej rozszerzyć i powiększyć. Ale wysiłki kilku szlachetnych jednostek nie wystarczą — potrzeba jeszcze poparcia ze strony społeczeństwa całej Wileńszczyzny, całej Polski nawet! Warunki materjalne wileńskiego Zoologa są bardzo ciężkie, więc o kupnie nowych okazów nie można nawet marzyć. To też zwracam się z gorącym apelem do wszystkich pp. Ziemian i Myśliwych o łaskawe nadsyłanie darów w postaci datków pieniężnych i żywych okazów naszej fauny i avifauny pod adresem: Szkolna Pracownia Przyrodnicza w Wilnie, ul. Zawalna Nr. 5. Nawet tak pospolity w Wielkopolsce królik dziki i bażant będzie dla wileńskiego ogrodu zoologicznego cennym nabytkiem. To też nie wątpię, że artykuł mój w najpoczytniejszem piśmie łowieckiem, odniesie należyty skutek i wzbogaci wileński Zoolog o kilkadziesiąt nowych i cenych gatunków.

LEOPOLD PAC-POMARNACKI.

Z TOWARZYSTWA MYŚLIWSKIEGO ZIEMI ŁĘCZYCKIEJ.

Doroczne zebranie Tow. zagaił prezes Jan Janczewski, na przewodniczącego wybrano p. Stan. Cebrowskiego, na asesorów pp. Marj. Prylińskiego i Stef. Parzybuckiego, a na sekretarza p. Mich. Iwanowskiego.

Sprawozdanie kasowe wykazuje w dochodach 3,745 zł. W wydatkach figurują między innemi sumy: 164 zł. na nagrody i ochronę zwierzyny, 166 zł. na kupno i utrzymanie zwierzyny, 1298 zł. na dzierżawę terenu i 315 zł. na wynagrodzenie strażników.

Składkę członkowską ustalono na 65 zł. rocznie. Liczbę członków ograniczono do 50, a rozmiar wydzierżawionych terenów do 12.000 morgów.

Łowczy p. Zygmunt Kamiński w sprawozdaniu za-

znaczył między innemi, że w roku zeszłym na terenach Towarzystwa odbyło się 7 polowań zbiorowych, na których zabito: 1 kozła, 273 zające, 37 królików i 2 sokoły wędrowne. Na polowaniach indywidualnych zabito na terenach Towarzystwa 302 kuropatwy i 38 kaczek, oraz 170 drapieżników.

Towarzystwo dzierżawi 5516 morgów i pertraktuje o dalszą dzierżawę, by mieć razem około 10.000 morgów.

W roku zeszłym Towarzystwo wytoczyło 2 sprawy sądowe i 15 administracyjnych za przekroczenie przepisów prawa łowieckiego. Z tych, 5 spraw administracyjnych przegrano z powodu niedokładnych zeznań świadków.

Przyjęto wniosek d-ra Stan. Żółkowskiego, aby na przyszłość prowadzono statystykę zabitych zajęcy, oddzielnie co do samic i co do samców.

Zarządowi udzielono absolutorjum.

Na członków zarządu wybrano pp. Rom. Brodowskiego i Piotra Misiaka, na zastępców — Fel. Błaszczyńskiego, Andrz. Olesiaka i Jana Olearskiego; do komisji rewizyjnej — Wacł. Komorowskiego, Stef. Parzybuckiego i Józ. Nowakowskiego.

Przyjęto wniosek p. Piotra Misiaka o zniesienie obowiązku polowania na kuropatwy „we dwójkę", jako zbyt krępującego.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

— **Walka z dzikiem.** — Pod Trzemesznem na Pomorzu w lesie państwowym zorganizowano obławę, podczas której postrzelono dzika, poczem ten powlókłszy się do pobliskiego rowu, tam się położył. Dopadł do niego z zamiarem dobicia robotnik Banaszek, na którego dzik, odzyskawszy siły, napadł i kłami niebezpiecznie poranił w nogę. Dzik ważył blisko 2 centnary.

FLAMINGI W POLSCE.

Zdarzają się czasem wypadki spotkania niektórych gatunków ptaków w najzupełniej odmiennym klimacie.

Flaming należy do ptaków afrykańskich, spotykanych też w niektórych okolicach nad północnymi brzegami morza Śródziemnego, w naszym jednak klimacie, tak różniącym się od afrykańskiego, lub klimatu z nad morza Śródziemnego, flamingów nie spotyka się wcale.

Szczególnem curiosum nazwać można wypadek zabicia flaminga na Wołyniu w majątku Poryck, należącym do hr. Czapskich.

WIADOMOŚCI HANDLOWE.

— **Kurs hodowli zwierząt futerkowych,** który miał się odbyć w Warszawie w dniach od 25 do 27 czerwca r. b., został odwołany. Nowy termin kursu we właściwym czasie zostanie podany do wiadomości zainteresowanych. Dalsze zgłoszenia na Kurs przyjmuje Związek Hodowców Zwierząt Futerkowych w Warszawie, ul. Kopernika Nr. 30.

— **Skórki borsucze.** — Za skórki prawdziwie srebrzystych borsuków uzyskać można bardzo wysokie ceny. Na przetargach kanadyjskich (Auction Sales Co, Limited, Montreal) zanotowano następujące ceny na skórki borsuków srebrzystych: Zgłoszono 2436 skórek, Wschodnia Kanada: I gatunek 41 — 62 dolary, II gatunek 30 — 38,5 dolarów. Północno-wschodnie Stany Zjednoczone: I gatunek 19,50 — 22 dolarów, II gatunek 11 — 16,50 dolara. Wschodnie Stany Zjednoczone: I i II gatunek 9,50 — 12 dolarów. W Montreal płacili za najlepsze skórki 83 dolary za 1 szt.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł.
Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.
Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł.
Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł.

Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł.
Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom niewolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. **ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.**

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów.

Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału. — Redaktor przyjmuje w poniedziałki od godziny 5½ do 6½ wieczorem.

Biuro czynne od 9 do 3 i od 5 do 7, w sobotę do g. 3.

Redaktor: **Walenty Włodzimierz Garczyński.** Wydawca: **Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.**

Myśliwski Konkurs Fotograficzny.

Dążąc do udoskonalenia strony ilustracyjnej pisma, redakcja „Łowca Polskiego", dorocznym zwyczajem ogłasza myśliwski konkurs fotograficzny.

P. P. Myśliwi zechcą nadesłać nam ciekawsze i piękniejsze zdjęcia łowieckie, które mogłyby się nadać do reprodukcji w naszem piśmie.

Na zdjęciach podać należy: krótki tytuł zdjęcia (ewentualnie nazwę miejscowości) oraz godło autora fotografji.

Nazwisko i adres, wypisane wyraźnie, pomieścić należy w oddzielnej, zaklejonej kopercie, opatrzonej tem samem godłem co i nadesłane fotografje. Przedmiotem zdjęć mogą być sceny z polowań, zwierzyna żywa i ubita, piękne psy myśliwskie i trofea łowieckie.

Nagrodę I-szą stanowić będzie suma zł. 100.—, II-gą zł 50.—, III-cią i IV-tą nagrodę — roczna bezpłatna prenumerata „Łowca Polskiego" i V-tą nagrodę ½ roczna prenumerata „Łowca Polskiego".

Jury składa się z członków Komitetu Redakcyjnego.

Termin nadsyłania zdjęć upływa z dniem 15 października r. b.

UWAGA: Warunkiem otrzymania dobrej kliszy drukarskiej, a następnie wyraźnej i przejrzystej reprodukcji — jest ostra fotografja, właściwie eksponowana i odbita na papierze bromosrebrnym. Najbardziej pożądany jest kolor odbitki czarny; koloru sepjowego mogą być tylko odbitki bardzo ostre i wyraźne.

Redakcja „ŁOWCA POLSKIEGO"

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.